

ROK LXI.
N^o 1

KURIER

WARSZAWA

Dnia 1 stycznia (20 grudnia)

1881



357/16
V

KALENDARZ NA ROK 1881.

S T Y C Z E Ń.			L U T Y.			M A R Z E C.			K W I E C I E Ń.		
20	1	S. Nowy rok 1881. Fulgenc.	20	1	W. + Ignacego B. i Brygidy	17	1	W. Albina B. i Baldzimierza.	20	1	P. Teodory M. i Hugona B.
21	2	N. 1 po N. r. Makarego Opata	21	2	S. Oczyszczenie N. M. P.	18	2	S. + <i>Popelec.</i> Heleny C. i Amelji	21	2	S. Franciszka a Paulo.
22	3	P. Daniela M. i Genowefy	22	3	C. Błażeja Biskupa Męcz.	19	3	C. Kunegundy Cesarzowej.	22	3	N. Biała. Ryszarda B. i Pankr.
23	4	W. Tytusa i Grzegorza B.	23	4	P. Andrzeja i Ansgarego BB.	20	4	P. Kazimierza Królewicza.	23	4	P. Izydora Biskupa.
24	5	S. Telesfora P. i Emiljanny	24	5	S. Agaty P. Męczenniczki.	21	5	S. Teofila B. i Fryderyka Op.	24	5	W. Wincentego Fer. W.
25	6	C. Trzech Króli.	25	6	N. 5 po 3 Kr. Doroty P. M. 3	22	6	N. Wstępn. Wiktora i Wiktorji	25	6	S. Wilhelma Op. i Celestyna P.
26	7	P. Lucjana M. i Teodora 3	26	7	P. Romualda Opata	23	7	P. Tomasza z Akwinu W. 3	26	7	C. Eplianjusza B.
27	8	S. Seweryna Opata	27	8	W. Jana z Maty	24	8	W. Jana Bożego i Beaty P.	27	8	P. Dyonizego B. i M. B. Bolesnej
28	9	N. 1 po 3 Kr. Marcejanu P. M.	28	9	S. Apolonji P. Męczenniczki.	25	9	S. + Franciszki Rz. i Cyryla Me-	28	9	S. Marii Kleofy.
29	10	P. Agatona P. i Wilhelma B.	29	10	C. Scholastyki Panny.	26	10	C. + 40 Męczenników [todjusza.	29	10	N. Kwietnia. Ezechiela Pror.
30	11	W. Higina P. i Teodozjusza.	30	11	P. Eufrozyny Panny i Lucyny.	27	11	P. + Konstantyna Wyznawcy.	30	11	P. Leona Papieża.
31	12	S. Arkadiusza M. i Honor.	31	12	S. Gaudentego Biskupa W.	28	12	S. + Grzegorza I-go Papieża.	31	12	W. Juljusza P. i Konstancji.
1	13	C. * Weroniki P. i Godfryda B.	1	13	N. Starozap. Juljana i Jordana	1	13	N. Sucha. Nicefora B. i Modesty	1	13	S. Hermenegilda Królewicza.
2	14	P. Hilarego B. i Feliksa M.	2	14	P. Walentego Kapł. Męcz. 3	2	14	P. Matyldy Król. Wdowy.	2	14	C. <i>Wielki.</i> Tybure. i Wal. 3
3	15	S. Pawła I-go Pustelnika 3	3	15	W. Faustyna i Jowity MM.	3	15	W. Longina M. i Leontyny.	3	15	P. <i>Wielki.</i> Bazyli i Anastaz.
4	16	N. 2 po 3 Kr. Marcella P. Ot-	4	16	S. Juljanny Panny Męcz.	4	16	S. Cyrylaka i Taczana M. 3	4	16	S. * <i>Wielka.</i> Lamberta Męcz.
5	17	P. Antoniego Op. [tona i Im. J.	5	17	C. Sylwiusza B. i Donata M.	5	17	C. Gertrudy P. i Patrycjusza.	5	17	N. Wielkanoc. Rudolfa B.
6	18	W. Katedry św. Piotra w Rzym.	6	18	P. Symeona i Konstancji P.	6	18	P. Gabryela Archaniola.	6	18	P. Świątyni. Apolonjusza M.
7	19	S. Kanuta Króla i Henryka	7	19	S. Konrada Wyznawcy.	7	19	S. <i>Józefa Oblubienca N. M. P.</i>	7	19	W. Hermogenesa M.
8	20	C. Fabiana i Sebastjana	8	20	N. Mięsop. Eucharjusza i Leona	8	20	N. Giucha. Wincentego B.	8	20	S. Sulpicjusza M.
9	21	P. Agnieszki P. M.	9	21	P. Eleonory Panny.	9	21	P. Benedykta Opata.	9	21	C. Anzelma B.
10	22	S. Wincentego i Anastazego	10	22	W. Katedry św. Piotra w Ant.	10	22	W. Pawła B. i Oktawiana.	10	22	P. Sotera i Kaia P.
11	23	N. 3 po 3 Kr. <i>Zaślub. N. M. P.</i> 3	11	23	S. Romany P. i Damazego.	11	23	S. Katarzyny Kr. Szwedz. P. 3	11	23	S. Wojciecha B. i Grzegorza.
12	24	P. Tymoteusza B. M. [i Ildof.	12	24	C. Sergjusza M. i Macieja Ap.	12	24	C. + Marka i Tymoteusza Męcz.	12	24	N. Przewodnia. Jerzego M.
13	25	W. Nawrócenie św. Pawła	13	25	P. Flawjana Męczennika.	13	25	P. Zwiaszt. N. M. P. i Irenusza	13	25	P. Marka Ewang. [i Bony P.
14	26	S. Polikarpa B. i Pauliny W.	14	26	S. Aleksandra Męczennika.	14	26	S. Ludgiera B. i Olimpij.	14	26	W. Kleta i Marcelina.
15	27	C. Jana Chryzostoma B. D. K.	15	27	N. Zapustna. Anastazji P. i	15	27	N. Srodop. Ruperta Biskupa.	15	27	S. Teofila Biskupa.
16	28	P. Karola W. C. i Rajmunda	16	28	P. Romana Op. [Anastazego 3	16	28	P. Syxta P. i Doroteusza M.	16	28	C. Witalisa Męczennika. 3
17	29	S. Franciszka Salezego B. D. K.				17	29	W. Cyrylla Djakona M. 3	17	29	P. * Piotra Męczennika.
18	30	N. 4 po 3 Kr. Martyny P. M. 3				18	30	S. Kwiryna i Angeli.	18	30	S. Katarzyny Seneskiej P.
19	31	P. Piotra Nolasko i Marcelli.				19	31	C. Kornelji i Balbiny.			
M A J.			C Z E R W I E C.			L I P I E C.			S I E R P I E Ń.		
19	1	N. 2 po W. Filipa, Jakóba i Gr.	20	1	S. Fortunata K. i Prokopa.	19	1	P. Teodoryka Kapłana.	20	1	P. Piotra w Okowach.
20	2	P. Anatazgo i Zyg. [Chr.	21	2	C. Blandyny P. M.	20	2	S. <i>Nawiedzenie N. M. P.</i>	21	2	W. N. M. P. Aniel i Gust.
21	3	W. Znaleź. S. Krzyża i Aleks.	22	3	P. Klotyldy Król. i Erazma.	21	3	N. 4 po Sw. Heliod. i Anatolj.	22	3	S. * Znal. S. Szezepana. 3
22	4	S. Florjana M. i Moniki.	23	4	S. + Saturniny i Optata B.	22	4	P. Józefa Kalasantego. 3	23	4	C. Dominiki i Justyna.
23	5	C. Piusa V Papieża.	24	5	N. Zosł. Ducha s. Bonifac. 3	23	5	W. Filomeny P. M.	24	5	P. N. M. P. <i>Śnieżnej.</i>
24	6	P. Jana Apostoła w Oleju. 3	25	6	P. Świątyni. Norberta B.	24	6	S. Dominiki Panny M.	25	6	S. <i>Przemienienie Pańskie.</i>
25	7	S. Domiceli Panny.	26	7	W. Roberta Opata.	25	7	C. Puleherji Panny.	26	7	N. 9 po Sw. Kajetana Wyzn.
26	8	N. 3 po W. Stanisł. Bisk. M.	27	8	S. + Maksymina i Medarda.	26	8	P. Elzbiety i Kiljana.	27	8	P. Cyrylaka, Larga i Smaragd.
27	9	P. Grzeg. [N.M.P. Los. i Op. s. Józ.	28	9	C. Pryma i Felicjana.	27	9	S. Anatolji M.	28	9	W. Romana M.
28	10	W. Izydora i Antonina.	29	10	P. + Małgorzaty Królowej Szk.	28	10	N. 5 po Sw. 7 br. synów Felic.	29	10	S. Wawrzyńca M. 3
29	11	S. Mamerta B.	30	11	S. + Barnaby Apostoła.	29	11	P. Sabiny i Pel. [i Jana z D. 3	30	11	C. Zuzanny i Dygny.
30	12	C. Pankracego M.	31	12	N. Trójcyśw. Onufrego Pust. 3	30	12	W. Jana Gwalberta.	31	12	P. Klary Panny.
1	13	P. Serwacego B. 3	1	13	P. Antoniego z Padwy.	1	13	S. Małgorzaty P. M.	1	13	S. + Hipolita i Kasjana M.
2	14	S. Bonifacego M.	2	14	W. Bazylego Biskupa.	2	14	C. Bonawentury B.	2	14	N. 10 po Sw. Euzebjusza K. W.
3	15	N. 4 po W. Zofji z 3-a córkami.	3	15	S. Wita i Modesta M.	3	15	P. Rozesł. Apost. i Henryka.	3	15	P. Wniebowz. N. M. P.
4	16	P. Jana Nepomucena K. M.	4	16	C. Boże Ciało. Benona i Just.	4	16	S. N. M. P. <i>Szkaplerznej.</i>	4	16	W. Jacka i Rocha W. 3
5	17	W. Paschalisa i Weroniki.	5	17	P. Adolfa Bisk. i Marcejana M.	5	17	N. 6 po Sw. Aleksego W. i Berty	5	17	S. Anastazjusza B.
6	18	S. * Feliksa i Wenantego.	6	18	S. Marka i Marcelljana. 3	6	18	P. Szymona z Lipn. i Kamil. 3	6	18	C. Agapita i Bronisławy.
7	19	C. Piotra C. i Iwona.	7	19	N. 2 po Sw. Gerwaz. i Protaz.	7	19	W. Wincentego a Paulo.	7	19	P. Reginy, Rufina i Benigny.
8	20	P. Bernarda Seneskiego 3	8	20	P. Sylwerjusza i Florentyny.	8	20	S. Eljasza i Czesława.	8	20	S. Bernarda Opata.
9	21	S. Donata i Wiktora Męcz.	9	21	W. Alojzego Gonzagi.	9	21	C. Daniela P. i Praksedy.	9	21	N. 11 po Sw. Joanny Frem. Wd.
10	22	N. 5 po W. Julji P. i Heleny.	10	22	S. Paulina Biskupa.	10	22	P. Marij Magdaleny.	10	22	P. Symforjana i Tymoteusza.
11	23	P. + Dezjeryusza B.	11	23	C. Agrypiny Panny M.	11	23	S. Apolinarego B. M.	11	23	W. Filipa Benicjusza Wyzn.
12	24	W. + Joanny W.	12	24	P. <i>Narodz. św. Jana Chrzc. i Serc.</i>	12	24	N. 7 po Sw. Kryst. P. M. i Ku-	12	24	S. Bartłomieja Ap. 3
13	25	S. Grzegorza VII i Urbana.	13	25	S. Prospera i Wilhelma [Jez.	13	25	P. Jakóba A. [negundy P. Kr. P.	13	25	C. Ludwika Króla
14	26	C. Wniebowst. P. Filipa N.	14	26	N. 3 po Sw. Jana i Pawł. MM. 3	14	26	W. <i>Anny Matki N. M. P.</i> 3	14	26	P. Zefryna Pap. M.
15	27	P. Jana P. i Magdaleny de Paz.	15	27	P. Władysława Króla Weg.	15	27	S. Natalji P. M. i Pantaleona.	15	27	S. Cezar. i Prz. S. Kaźm.
16	28	S. Germana B. i Wilhelma. 3	16	28	W. + Ireneusza Biskupa.	16	28	C. Innocentego P. i Celsa M.	16	28	N. 12 po Sw. Augustyna B. D. K.
17	29	N. 6 po W. Teodozji Męcz.	17	29	S. Piotra i Pawła Apost.	17	29	P. Marty Panny.	17	29	P. Ściecie s. Jana Chrzciela.
18	30	P. Feliksa P. i Ferdynanda.	18	30	C. Emilji i Lucyny PP.	18	30	S. Abdona i Serafaj MM.	18	30	W. Feliksa i Róży P.
19	31	W. Petroneli i Angeli Mer. P.				19	31	N. 8 po Sw. Ignacego Lojoli W.	19	31	S. Rajmunda W.
W R Z E S I E Ń.			P A Ź D Z I E R N I K.			L I S T O P A D.			G R U D Z I E Ń.		
20	1	C. Idziego Opata. 3	19	1	S. Remigjusza B.	20	1	W. Wszystkich Świętych.	19	1	C. + Elgijusza Bisk.
21	2	P. Stefana Kr. W. i Justa B.	20	2	N. 17 po Sw. Aniołów Stróż. i N.	21	2	S. <i>Dzień Złoty.</i> Wiktorji.	20	2	P. Bibjanny Panny M.
22	3	S. Serafji P.	21	3	P. Kandyda i Ludom. [P. Róz.	22	3	C. Huberta B. i Wenefrydy.	21	3	S. Franciszka Ksawerego.
23	4	N. 13 po Sw. Rozalji. Poc. N. M. P.	22	4	W. Franciszka Serafińskiego.	23	4	P. Karola Boromeusza B. W.	22	4	N. 2 Adw. Barbary P. M.
24	5	P. Wawrzyń. i Just. [i Joa. O.	23	5	S. Flawjany P. M.	24	5	S. Zachariasza i Elzbiety P.	23	5	P. Sabby Op. i Piot. Chryz. 3
25	6	W. Zachariasza Proroka.	24	6	C. Brunona W.	25	6	N. 22 po Sw. Leon. i Op. N. P. 3	24	6	W. Mikołaja Biskupa.
26	7	S. + Reginy Panny M.	25	7	P. Justyny P. M. 3	26	7	P. Wilibrarda Biskupa.	25	7	S. + Ambrożego B. D. K.
27	8	C. Narodzenie N. M. P. 3	26	8	S. Brygidy W.	27	8	W. Gotfryda B. i 4 Koronat.	26	8	C. Niep. Focz. N. M. P.
28	9	P. Gorgonjusza M.	27	9	N. 18 po Sw. Dyoniz. B. i Win.	28	9	S. Teodora M.	27	9	P. Leokadij P. i Walerji.
29	10	S. Mikołaja z Tolentynu.	28	10	P. Franciszka Borg. [Kadł.	29	10	C. Andrzeja z Awelina.	28	10	S. N. M. P. <i>Loret.</i> i Eulalji.
30	11	N. 14 po Sw. Emilji. Prota i Im.	29	11	W. Placydy P.	30	11	P. Marcina B.	29	11	N. 3 Adw. Damazego Pap. W.
31	12	P. Waler. i Salez. [Marji	30	12	S. Maksymiljana B.	31	12	S. Marcina Pap. i 5 br. pol. MM.	30	12	P. Synezjusza i Aleksandra.
1	13	W. Maurycego i Aureli.	1	13	C. Edwarda Kr.	1	13	N. 23 po Sw. Dyd. W. i St. Kost.	1	13	W. Lueji P. M. i Otyli P. 3
2	14	S. Podwyższenie S. Krzyża.	2	14	P. Kaliksta P. M.	2	14	P. Serapiona M.	2	14	S. + Spirydona B. W.
3	15	C. Nikodema Kapł. M. 3	3	15	S. Jadwigi W. i Teressy P. 3	3	15	W. Leopolda i Gertrudy P.	3	15	C. Ireneusza Męczennika.
4	16	P. Cyprjana B. i Eufemji.	4	16	N. 19 po Sw. Florentyna B. M.	4	16	S. Edmunda B.	4	16	P. + Euzebjusza B. i Albiny.
5	17	S. 5 r. s. Franciszka i Justyna.	5	17	P. Wiktora B. i Lucyny M.	5	17	C. Salomei P.	5	17	S. + Łazarza B. i Olimpij W.
6	18	N. 15 po Sw. Józeta z Kopert.	6	18	W. Łukasza Ewangelisty.	6	18	P. Maksyma i Eugenjusza.	6	18	N. 4 Adw. Gracjana Bisk.
7	19	P. Januarjusza B. Męcz.	7	19	S. Piotra z Alkantary.	7	19	S. Elzbiety Ks. Lug. W.	7	19	P. Faustyn Wdowy.
8	20	W. Eustachjusza M.	8	20	C. Ireny P. przen. S. Woje.	8	20	N. 24 po Sw. Feliksa Walezj.	8	20	W. Teofila Męczennika.
9	21	S. + Mateusza Apost.	9	21	P. Urszuli Panny.	9	21	P. <i>Ofiarowanie N. M. P.</i> 3	9	21	S. Tomazsa Apost.
10	22	C. Maurycego M.	10	22	S. Korduli P. M. i Alfonsa.	10	22	W. Cecylii Panny M.	10	22	C. Zenona i Flawjana.
11	23	P. + Tekli Panny M. 3	11	23	N. 20 po Sw. Jana K. i Jana 3	11	23	S. Klemensa P. M.	11	23	P. Wiktorji P. M.
12	24	S. + N. P. M. od wyz. niew.	12	24	P. Rafała Archaniola. [Kant.	12	24	C. Jana od Krzyża Wyzn.	12	24	S. + Wigilja. Adama i Ewy.
13	25	N. 16 po Sw. Aureli P. Kleof.	13	25	W. Kryspina i Kryspianina MM.	13	25	P. Katarzyny P. M.	13	25	N. Narodz. Chr. Pana.
14	26	P. Cypr. i Just. [i Eadys. z G.	14	26	S. Ewarysta Pap. i Lucjana.	14	26	S. *Konr. Piotra i Aleks. B.	14	26	P. Szczepana I-go Męcz.
15	27	W. Kasmy i Damjana.	15	27	C. Sabiny M.	15	27	N. 1 Adw. Barlaama i Waler.	15	27	W. Jana Ewangelisty. 3
16	28	S. Wacława Kr. Czeskiego.	16	28	P. Szymona i Judy Tadeusza Ap.	16	28	P. Mansweta B. i Rufa. 3	16	28	S. Młodzianków.
17	29	C. Michała Archaniola.	17	29	S. Nareczy B. i Euzebji.	17	29	W. Saturnina Męczennika.	17	29	C. Tomazsa Kantuaryjsk. B.
18	30	P. Hieronima Kapł. D. K. 3	18	30	N. 21 po Sw. Zenobj. B. M. 3	18	30	S. Andrzeja Ap.	18	30	P. Eugenjusza B. i Dawida Kr.
			19	31	P. + Wolfganga B. [i Zenobji.				19	31	S. Sylwestra Papieża.

Wykład znaków kalendarzskich: Nów 3. — Pierwsza kwadra 3. — Pełnia 3. — Ostatnia kwadra 3.

Od redakcji.

Pozdrawiamy was przy tym nowym roku.

Pozdrawiamy was—a więc życzymy tego, co jest największym skarbem człowieka i społeczeństwa całych — zdrowia.

Człowiek zdrowy na ciele i umyśle może i powinien działać w pełni sił swoich, społeczeństwo zdrowe godne jest życia, więc żyje.

Pierwszym i głównym warunkiem zdrowia jest u-normowanie tego, co główną zasadą życia stanowi.

Dla zdrowia trzeba *tehu swobodnego*.

Owóż *tehu swobodnego* życzymy wam i sobie.

Ażeby te wyrazy dobrze określić w znaczeniu społecznym, bo tu o zdrowie społeczne głównie chodzi, zastanówmy się chwilę nad niemi.

Swobodnie oddycha społeczeństwo, którego wszystkie części rozwijają się według właściwej w nim natury.

Każda z tych części ma prawo do życia, więc powinna z tego prawa korzystać, inaczej słabnie i karleje.

Potrzeba, ażeby swobodna praca wszystkich tych części, zastosowana do środka, w którym żyć im przychodzi, mogła się dla ogółu spożytkować.

Więc dla tej pracy sposobne należy nadać pole.

Niechaj dla każdej zdolności następczyni będzie właściwy obszar rozwoju, niechaj każdej zasłudze oddawaną będzie nagroda, jaka jej się należy.

A to wszystko według praw bożych i ludzkich.

W społeczeństwie, którego działanie nie odbywa się w takich przyjaznych warunkach, mnóstwo zdolności bywa złamanych przedwcześnie, mnóstwo ludzi bywa wykończonych z drogi, jaką podążałoby mogli na wielką korzyść swoją i całego ogółu.

Takie marnowanie sił stanowi nieczem nie wynagrodzoną stratę.

Bo myśleć i zabiegać na korzyść całego społeczeństwa ktoś może lepiej jak ci, którzy z jego łona wyszli?

Kto dokładniej zna środki, jakimi ono rozporządza, kierunek w jakim te środki najpraktyczniej zużytecznie się mogą?

Swobodny więc oddech zależy na tem, ażeby przy przyjaznych warunkach wolno było każdej zdolności rozwijać się, każdej pracy spożytkować.

Jeżeli temu uczynione będzie zadość, to można być pewnym, że wszystkie części, znalazłszy stosowną porę rozwoju, nie podążą na mylnie manowce, nie stopią się w źle skierowanych a często nader szkodliwych usiłowaniach.

Kto u siebie i w pośród swoich oddychać może całą piersią, ten nie będzie szukał u cudzych sztucznej a często trującej atmosfery.

Dać więc swobodny oddech społeczeństwu, jest to zapewnić się, że znajdzie się w niem na wszelki raz silna a nieczem niezachwiana podpora.

Bo żadne krecie nurtowania nie mogą szkodzić tam, gdzie swobodna a nieczem nie tamowana praca rozwija się na świetle słonecznym, według zasad sprawiedliwości i dbałości o dobro wszystkich.

Powtóre dla zdrowia potrzeba *równowagi*.

Niechaj według starego przysłowia francuskiego niecz nie drze pochwy, niechaj pochwa nie przytłumia miecza.

Mens sana in corpore sano, — zdrowy umysł w zdrowym ciele, oto prawdziwa, stała i nieczem niezachwiana zasada.

Ta równowaga sił moralnych i materialnych może tylko objawiać się tam, gdzie jedne i drugie znajdują dla siebie stosowne pole rozwoju.

Błędnie czynią ci, którzy wyłącznie na jeden z tych kierunków zwracają swoje usiłowania.

Naród, żyjący tylko materialnymi pokuszeniami, tyje, grubieje i przestaje myśleć; naród, zbyt rozmarzony w duchu i wykolejony na żądaniach i złudzeniach nie dających się uskutecznić, traci konieczną z pod nóg podstawę i rzuca się w przedsięwzięcia niepodobne na czasie do ziszczenia.

W jednym i drugim razie nastaje niemoc tamująca rozwój społeczny.

„Mierz siłę na zamiary“ — powiedział wielki poeta; my poważamy się tutaj przestawić to zdanie i poradzić, „ażeby ci, którzy pragną dojść do pomyślnego rezultatu, mierzili zamiary według sił“.

Ale niechaj się dobrze obrachują z sobą, niechaj się starają dokładnie uwarunkować zamiary możliwe i baczycie czy im na nie sił starczy.

Tutaj więc stawia się nam przed oczy trzeci konieczny warunek zdrowia społecznego, a tym jest *umiarkowanie*.

Czem dla zwykłych ludzi wstrzemięźliwość, to jest rozsądny rozmiar sił żywotnych, ażeby dłużej trwały, tem dla społeczeństw bywa umiarkowanie.

Poeta powiedział:

Kiedy zdrowy cel ci świeci,

Bacz na to co masz pod bokiem,

Idź ciągle miarowym krokiem,

Prześcigniesz tego co leci.

Jest to stara bajka o żółwiu i zającu, która w praktycznym życiu znajduje bezprzestannie zastosowanie dla siebie.

W tych kilku słowach streściliśmy nasze dla was życzenia noworoczne; oby Bóg dał by się ziszcily kiedy.

W dalszych pogawędkach z wami będziemy się starali rzucić te myśli stosownie i wyraźnie rozwinać.

A pamiętajcie tylko:

że Bóg radzi

o swojej czeladzi.

Tak jest—byleby czeladź nie zapomniała o sobie...

Do J. I. Kraszewskiego.

Więc Ci w uchu dzwieży mile

Te piosenki kiedyś grane,

Co leciały jak motyle,

Z macierzanki na dziewannę,

Kwiatów pyłkiem osypane?

Więc Ci w uchu dzwieży mile

Te piosenki bezehowe?

Ileż to ich zgasło, ile,

Na rozdrożu, na mogile,

W pustyń skwarze, w mgły grudniowe!

Ciszej, ciszej! bo usłysza

W grobach, mistrzu, twoje słowo;

I wyroją się na nowo,

Wlecają, skrzydła rozkołyszą,

Kraść będą nad twą głową.

A nie spędzisz tak ich łatwo,

Gdzie się znęca raz ich roje!

Znam się z tą niesforą dziatwą,

Którą wskrzesi słowo twoje,

Piersi ją karmiły moje.

Z pod stóp Hiramowej góry

Jedna pieśń się już podrywa:

Patrz, szalona mdleli piory,

Przez szerokie morze lazury

Leci, leci, leci śpiewa:

„Zkąd mnie owiał duch anioła,

„W cytrynowych sadach śpiącą?

„Słysz, czuję pierś gorącą,

„Co mi stopi szrony z czoła;

„Kto mnie zbudził? kto mnie wola?”

Niechże piosenkę Bóg prowadzi!

Biedne ptaszko to tulące,

Jeśli skrzydło go nie zdradzi,

Wiem, doleci gdzie mu radzi,

Lecz miast śpiewać, się rozplacze.

Nie odepchniesz, wiem, ptaszyny,

Choć zmęczona, Cię zasmuci;

Bracie, boleść jej bez winy.

Patrz na czarne morze głębiny...

Wracać znowu?... nie! nie wróci!

K. Brzozowski.

Tripoli 4 sierpnia 1879.

Trochę o niegranej komedji i o odegranym dramacie.

Orzeszkowa napisała drobnostkę sceniczną p. t. „Pokocio się... i Dam nogę“.

O tym obrazku godzi się wspomnieć nie tylko z obowiązku referenta teatralnego, ale z innych o wiele ważniejszych względów.

O scenę Orzeszkowej nie chodziło i kiedy rzuciła na papier ten dialog między dwoma braćmi, przeprowadzając sprzeczkę koroniarza z litwinem wszczętą od dwóch prowincjonalistów językowych i godząc ją wdaniem się Mickiewicza, który przypomina, że

..... „ty jesteś jak zdrowie,

„Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

„Kto cię stracił,

autorka „Patriotyzmu i kosmopolityzmu“ miała myśl głębszą.

Szkoda że myśl ta ujęta w ramę blaha, w której jeszcze niepotrzebnie sporo miejsca zajęła literacka reklama, zmalała, i że talent Orzeszkowej, przepływający po niej jak po płytkiej wodzie, musiał osiąść na mieliznie.

„Il y aurait ici des scènes à faire — powiedziałby francuz, przeczytawszy ten króciutki akcik Orzeszkowej.

Możnaby z tego pomysłu niejedną świetną wysnuć scenę — i doprawdy miałoby się prawie pretensję do talentu Orzeszkowej — gdyby nie przekonanie, że autorka, pisząc nawet tę drobnostkę, miała do zwalczenia wiele trudności, z których nie wszyscy dokładnie zdają sobie sprawę.

A główna trudność nie leżała prawdopodobnie w tej drażliwej stronie zadania, która każdego odrzuca bije w oczy, ale w innej, którą może niewłaściwie wystawiamy sobie w postaci antagonizmów, utrzymujących jakoby ciągłą waśń między braćmi jednym mówiącymi językiem.

Stosunek Witolda i Zdzisława do matki, w komedji Orzeszkowej — równie jak wszystkich Witoldów i Zdzisławów do wspólnej rodzicielki, w wielkim dramacie dziejowym jasny jest i w nikim nie budzi żadnych wątpliwości; ale stosunek braci między sobą potrzebowałby może głębszego traktowania, aniżeli przekomarzanie się o miejsce urodzenia choćby najznakomitszych współczesnych pisarzy, o zalety lub przywary litwinów i koroniarów.

Orzeszkowa rozmyślnie zapewne zredukowała dysputę do takich blachostek, ażeby taką tylko doniosłość nadać tym, jak je w zakończeniu Jadwiga nazywa, domowym sporem i rywalizacją.

Ale w tem właśnie błąd.

Bo nie idzie tu o domowe spory, o rywalizację, ani o antagonizmy których niema, lecz o odrębności charakterów które są, które w historii rozwoju naszego społeczeństwa kapitalną odegrały rolę i które przedstawiając historykowi-psychologowi bogaty materiał do badań, mają również prawo, wcieliwszy się w postacie z życia brane, przemówić do nas ze sceny słowem i czynem, na tych odrębnościach charakterowych opartym.

Że tak jest nawet nie od dziś, niech zaświadczy wspomnienie z przed kilkunastu lat.

Piszący te słowa zwiędzał wtedy daleki Wschód — z przyczyn niezależnych od redakcji.

Losy zatrzymały go dłużej w wielkiej, na wyspie urządzonej warzelni soli, gdzie mu urzędowe dano zajęcie.

Znalazł tam wielu znajomych i nieznajomych koroniarzy i litwinów.

W tem społeczeństwie miniaturowem, skupionem, streszczonem, skoncentrowanem pod działaniem jednej myśli, która nadangarskie tętnie przeistaczała na tętnie ciechocińskie, zacierały się wprawdzie odległości społeczne, umysłowe — ale występowały tem silniej różnice prowincjonalne, nabierając istotnie pozoru antagonizmu i rywalizacji.

Dysputa o lekkości, o fantazjach, o braku wychowania koroniarzy, o stateczności, „solidarności“ i charakterze litwinów, stawała się chwilami niemal kwestją stanu — którą przedewszystkiem studjował zwierzchnik zakładu.

Była to z wielu względów ciekawa figura.

Imię nosił wielkiego poety swego narodu i miał z nim jedną wspólność: lubił bardzo „oczyszczoną“.

Pyszny typ dla Turgeniewa, — jeden z tych, co to gdzieś tam byli, kogoś uśmierzyli, dostali za to krzyż i daleką tranzlokację, która dała folgę ich szerokiej naturze, zbyt rozmaszystej, ażeby się w regularnych mieściła stosunkach.

Zbierając więc na „czarną godzinę“ oszczędności na soli, zwierzchnik ów liberalizował po troszę, bardzo swobodnie rozmawiał ze swemi podwładnymi. Zresztą „dobry mały“, jak mówią jego ziomkowie.

Ten „dobry mały“ patrzył, obserwował i widział;

A kiedy uderzyła w nas jak grom wiadomość o nie-
szczęsnym epizodzie, znanym w historii okolic baj-
kału, pod nazwą „sprawy zabajkalskiej” — nikt tak
dobrze nie wiedziałczego się trzymać, jak ów zwierz-
chnik nad warzelnią soli.

Przeczuwaliśmy wszyscy tragiczny koniec kata-
strofy, ale przed zakończeniem, ten krok rozpacz-
mógł wstrząsnąć naszą kolonją, — a tego lękaliśmy
się bardzo.

Zwierzchnik był spokojny, bo w danym razie swo-
ją politykę oprzeć zamierzał na spostrzeżeniach dzi-
wnie trafnych i bystrych.

— Ten zrobi tak, tamten inaczej — a ów jeszcze
inaczej — mówił z usmiechem i me chybiał, — bo
istotnie ten byłby zrobił tak, tamten inaczej, a ów je-
szcze inaczej.

Ale najdosadniej scharakteryzował najwybitniej-
sze między nami dwa typy koroniarza i litwina.

— Pan Zdzisław — ciągnął dalej, mrugając ma-
lekiemi, po chińsku podciętymi oczkami — wlezie na
bezkę i będzie miał mowę do braci.

Tu następowały zarzuty, jakby podsłuchane w naj-
smutniejszych przykładach współczesnej naszej elo-
kwencji; cała swada, cała fantazja koroniarza odzy-
wała się w tych okresach okrągłych, kwiecistych a
bogatych w metafory i poetyczne błyski.

— Wtedy, mówił zwierchnik, wstanie p. Witold
i zacznie. „Ta zmiłujcie się, co robicie — zastanów-
cie się” i tak dalej prawie będzie po prostu, nieo-
zdobnie, ale jednie i treściwie... A kiedy słowa nie
pomogą, położy się na poprzek drogi i zawoła: „pój-
dziecie chyba po moim trupie”. A kiedy i to nikogo
nie zatrzyma, — wstanie i zakonkluduje: „ta już
pójdę z wami — tylko poczekajcie niech włożę gru-
be buty”.

Jeżeli przed piętnastu laty zwierznicy ówczesni
tak dobrze znali Zdzisławów i Witoldów, cóż to do-
piero teraz być musi?

Dlaczegoż my nie mielibyśmy powiedzieć sobie
tego, co oni nam mówią od tak dawna, dlaczegoż my
nie mielibyśmy badać, co to jest owa zdolność ko-
roniarza do lotnej iniekcji, owa wytrwałość i sy-
stematyczność litwina do organicznej pracy, dlacze-
go nie spożytkować i jednego i drugiego na korzyść
tej pracy, zanim ktoś trzeci na naszą szkodę tego nie
obróci?

Są to przecież czynniki, z których przy umiejęt-
ności użycia, stworzyć można doskonałą równowagę
społeczną.

Tylko trzeba je znać dokładnie — a do tej znajo-
mości przyłożyć się może tak dalece poważny badacz
dziewowy, jak utalentowany powieściopisarz lub dra-
maturg.

Il y aurait ici quelques belles scènes à faire, po-
wtarzamy z francuzami; możnaby na tych danych
zbudować wspaniały dramat obyczajowo-społeczny.

Zadanie nie łatwe — to prawda — ale życie tak
już się pokociło, że nikomu nie wolno powiedzieć:
dam nogę!

Władysław Bogusławski.

Do dziejów humoru polskiego.

....Do rzędu facejonistów, ludzi „trefnych”, jak wówczas
mówiono, należał Imię pan Ignacy Gąsowski, horodnie-
czy, towarzysząc znakowi petyhorskiego u królewicza Fry-
deryka.

Wesoły, dowcipny, pełen rycerskiego animuszu, w szla-
checkich dworach mile był witany i solenniter traktowany;
nie obeszła się bez niego żadna zabawa sąsiedzka.

Kto w orsząnskim dziękuję za pannę stolnikównę? — pan
horodnieczy; kto kumem pana łowczego lub reagenta? — pan
horodnieczy; kto do zwaśnionych palnie taką orację, że z obu
stron urazy puszcza się w amnestję? — nikt inny tylko za-
wsze ten sam pan horodnieczy!

A co to było śmiechu i wrzawy, kiedy podpisywał się sy-
pać jak z rękawa przeróżne *foveolitates*! panowie szlachta ze
śmiechu brali się za boki, a poważne białogłowy i dziewczki
zamykały się w oddalonym alkierzyku, aby uszu nie obrazić
wzrostem żartami.

Ala panu towarzyszeowi znaku petyhorskiego nie dość było
powiatowych tryumfów; ręka, co kordem wladala, umiała jąć
i za pióro.

Kto wie czy pan Gąsowski nie był u nas pierwszym lite-
ratem-humorystą w dzisiejszym tego słowa znaczeniu; upra-
wiał on bowiem wyłącznie tę niwą literatury, a ówczesne
Miscellanea, *Silvae-rerum* zachowały nam ślady jego pisar-
skiej działalności.

Znaną była powszechnie jego dyspozycja dla swego ekono-
ma czyniona, w której wysmiewał nieporadność gospodarską,
zdzierstwo, uchylanie się przed płaceniem długów itd.

Oto parę ustępów z tej dyspozycji:

„Jeżeli kto do mnie przyjdzie z jaką pretensją, powiedzieć,
że ja nagle umarłem i należycie wyczubiwszy, wolno za łeb
wziąć, za drzwi wyprowadzić”.

„Majeranu nasiać jaknajwięcej, bo się do kielbas komu-
kolwiek zgodzi”.

„Już pono siana jak nie było tak niema, zaczynam dla
konserwowania zdrowia końskiego każ wspan bocianowe
gniazda pobierać, które wpół z siecią zmieszawszy, koniom
po trzy razy dawać a poć po trzy trzydzieści”.

„Do mnie wolno pisać albo nie pisać, bo ja sam może bę-
dę albo nie będę, wspan możesz chłopów i podróżnych zdzie-
rać, toż samo ja z wspanem uczynię”.

Więcej jeszcze znanym był testament pana horodnieczya,
sporządzony za lat młodych ze względu, że nieodbitych sztych
niebezpieczeństwa obok z nami chodzić zda się, a ztąd zawsze
„nad grobem stoimy jedną nogą”.

Testament składał się z zapisów sługom i przyjaciółom,
oraz z dyspozycji ciałem i mową pogrzebowej, napisanej dla
kaszodziel.

Ciało swoje kazał pan horodnieczy w siermięgę starą u-
brać i złożyć w ulu obwiązany flakami rysiemi, świniemi,
wołowemi, jednorożcowemi, baraniami, psiami i t. d., „a to
dla tego, że przed skończeniem świata jeden będzie pasterz i
jedna owczarnia”.

Na ulu napis:

„Obrońcę wiary, wolności i króla.

„Jak pszczołkę wpędza sroga śmierć do ula”.

Na około stać miały rozmaite kolumny i emblematy; po le-
wej ręce miał być umieszczony mundur wypchany słomą z tą
inskrpcją:

„Jak nie ma nosić munduru pan Czura,

„Kiedy kul słomy doczekał mundura?”

Na jednej z kolumn odmalowana być miała śmierć z kie-
lichem, pijąca za zdrowie nieboszczyka, na drugiej śmierć wio-
dąca księdza do grobu z napisem:

„Jak z kwiatków pszczołki, tak z ludzi plebanie

„Zbierałeś słodycz, teraz proszę na nią”.

Kazanie w krótkich słowach wyrażało żal, że śmierć „na
heroicznych żołnierskich piersiach sianokos zaczęła i fatalnie
zakończyła”, oraz prośbę, aby święty Jerzy przyjął dla swe-
go rumaka tę kłkłę siana w nieopłakany ulu złożoną”...

K. Bartoszewicz.

IMPROMPTU.

Szukałem długo nowych szat
Dla piosnek mych i treści świeżej,
Znalazłem kilka świetnych szmat
Z królewskiej mistrzów mych odzieży
I kilka snów z minionych lat...

I z tych to kształtów, z tych tematów
Złożone piosnki daję wam.
Ze czasem woń zawiedlonych kwiatów
Zaleci od nich — mało dbam!...
W środku przezdnych poematów
Nie jeden raz usnąłem sam...

Ja dziecko smutnych, dziwnych dni,
Czuję jad w zdrowej ojców krwi
I życia piekłem pieśń złamana
Pod gruzem mar młodzieńczych śpi,
Zatrutem czasu tchem owiana...

Czesław.

Z teki naturalisty.

O świeceniu robaczek świętojańskich.

Szczególne zjawisko wydawania światła w ciem-
ności przez tak zwane robaczki świętojańskie (*Lam-
pyris noctiluca*) zajmowało od dawna w najwyższym
stopniu świat uczony, ale dostatecznego wyjaśnienia
jego dotychczas nie mieliśmy.

W ostatnich czasach przedsięwzięto szereg do-
świadczeń, który rozjaśnił do pewnego stopnia ten
proces i dzięki im wiemy już dzisiaj, jaka jest przy-
czyna tego zjawiska i przy jakich warunkach ono
powstaje.

Wiadomo, iż przyrząd świecący robaczek, o któ-
rych mowa, najwięcej rozwinięty jest u samicy i
składa się z żółtawej masy mieszczonej się na brzu-
chu, pomiędzy piątym, szóstym i siódmym pierścieniem
brzusznym. Masa ta pokryta jest cienką błoną.
Pod mikroskopem badana, przedstawia się ona jako
składająca się z pojedynczych zrazików, w których
dostrzegać się dają wielkie komórki; do środka ka-
żdego z owych zrazików prowadzi kanalik, będący
odnogą tchawicy i doprowadzający do niego powie-
trze.

Światło robaczka świętojańskiego bardzo jest sil-
ne, tak że może być dostrzeżone w odległości 150 do
200 metrów; przedstawia nieco podobieństwo do
światła wydawanego przez fosfor, jakkolwiek różni
się od niego tem, iż barwy jest zielonawej, kiedy
światło fosforu jest żółtawe. Powierzchnia świecąca
robaczka świętojańskiego nie jest jednostajną, lecz
przedstawia punkta jaśniejsze i ciemniej świejące. Świe-
cenie tych zwierzątek odbywa się tylko w nocy, a
przy ich zgnieceniu wydzielają się zapach, który tylko
z zapachem cebuli da się zestawić.

Świecenie zwierzątek jest zjawiskiem zależącym
wyłącznie od ich woli i to utrudnia bardzo wykony-
wanie nad niem doświadczeń; na szczęście przekona-
no się, iż można za pomocą drażnienia elektryczno-
ścią wywołać takie świecenie, które następuje jed-
nak nie wcześniej, niż w 6 lub 8 sekund po puszc-
czeniu prądu elektrycznego.

Za najlepszy dowód, iż świecenie jest zjawiskiem
własnowolnem, służy doświadczenie, w którym prze-
cięto połączenie ze zwojami głowowemi (zastępują-
cemi u tych zwierzątek mózgi; zwierzątko przesta-

wało w takich razach świecić własnowolnie, wywią-
zywało się jednakże światło pod działaniem prądu
elektrycznego.

Bardzo zajmujące są doświadczenia, w których za-
mykano żywe robaczki w rozmaitych gazach i za po-
mocą elektryczności starano się w nich światło wy-
wołać. Doświadczenia te miały nadzwyczaj doniosłe
znaczenie, przekonały nas bowiem, iż obecność tlenu
jest niezbędnym świecenia warunkiem. Ile razy u-
mieszczano robaczki pod kloszem napelnionym tle-
nem, powietrzem lub mieszaniną tlenu z innymi ga-
zami, zawsze można było wywołać światło prądem
elektrycznym, tymczasem w atmosferze z kwasu wę-
glanego, azotu, wodoru lub t. p. świecenia nie było.

Z przytoczonego wyniku owych doświadczeń wy-
wieść się da przypuszczenie: iż organ świecący
wyrabia jakieś ciało, które łącząc się z tlenem po-
wietrza, wydaje światło, nie przedstawiające jednak
najmniejszego podobieństwa z światłem elektrycz-
nem, które powstaje bez żadnego współdziałania
tlenu. Ciało wydzielające się w ten sposób nie może
być płynne, ponieważ w owych zrazikach nie widzi-
my żadnych kanalików wyprowadzających, lecz mu-
si mieć postać gazu. Chemja dzisiejsza uczy nas:
że gazem takim nie innego być nie może, jak tylko
połączenie fosforu z wodorem, jakkolwiek dotych-
czas nie dano się na drodze analizy wykryć to ciało
w komórkach organu świecącego. Fakt ten łatwo
da się tem wytłómaczyć, iż gaz ów palący się nie
znajduje się w zapasie, lecz prawdopodobnie wy-
dziela się za każdym razem pod wpływem woli zwie-
rzęcia lub prądu elektrycznego.

Przekonano się też, iż komórki powinny żyć, żeby
światło wydawać. Świecenie ustawało zawsze, ile ra-
zy komórki organu świecącego zostały dokładnie
zgniecione, zmiażdżone. Również świecenia już wy-
wołać nie można, jeżeli komórki świecące zatrute zo-
stały jakąś silną trucizną.

Jeżeli w czasie świecenia robaczek, poddamy je
działaniu eteru — światło ustaje; nakoniec przy dłuż-
szem doświadczeniu na jednym obiekcie spostrzega-
my objawy znużenia, jak to wogóle w zjawiskach
będących pod wpływem nerwów widzieć się daje.

Takie są rezultaty ostatnich doświadczeń nad tem
ciekawem zjawiskiem natury; wykazanie na drodze
analizy chemicznej fosforu lub innego ciała w komór-
kach organu świecącego rozstrzygnęłoby ostatecznie
tę kwestję.

dr Gustaw Fritsche.

Horoskopy polityczne.

Co tu gadać, — o! bajdurza,
Że na pokój się zanosi; —
Kwestja wschodnia grozi burzą,
Choć pogodę Bismarek głosi.
Wschód, jak dach posyty słomą,
Jedną iskrą spłonie cały...
To im panie sprawią wały!...
— Lecz kto komu?

— Niewiadomo!...

Bismarek, ho ho!... kręta sztuka,
W Friedrichsruhe nie próżnuje
I nie darmo w palce puka;
Jak pajacek siatkę snuje,
Capnie znów rzecz łakomą,
„Szach-mat”, zagnął wrześnie silnie;
Zagiął parol nieomylnie!
— Lecz na kogo?

— Niewiadomo!...

Gladstone niby robi fiasco,
A-hm!... figlarz to nie lada!
Tylko tak się skrył pod maską,
Bo udawać mu wypada.
Mądry stary, jak Salomo —
Jeśli tylko się ostoi,
To torysom kurtę skroci.
— A nuż padnie?

— Niewiadomo!...

Austrja w biedzie... wielkie rzeczy!
Stara piosnka się nie zmienia,
Steuerzuschlag ją wyleczy
Z krytycznego przesilenia.
Pieniądz — rzecz jest znikomą!
Spłaci — (projekt już gotowy) —
Stare długi... kredyt nowy.
— Któż da grosze?

— Niewiadomo!...

Francja stoi na wulkanie; —
Ten Gambetta łepak tegi,
Niechno raz u steru stanie,
Toż to panie wezmą ciggi!...

Plan kampanji już rzekomo
Leos w biurku ma u siebie.
Weźma w skórę, jak Bóg w niebie!
— Kto od kogo?

— Niewiadomo!...

Zresztą czekać, — tylko czekać!
Stan dziś niezdecydowany —
Zima zwykła wszystko zwlekać,
Za to z wiosną przyjdą zmiany.
Trzeba obejść się oskoma,
Zanim przyszłość nas pokrzepi;
Poczekajcie: będzie lepiej!
— Ale kiedy?

— Niewiadomo!...

M. Gawalewicz.

Chorwaci.

(A propos katastrofy zagrzebskiej.)

Dziwne, a trudne do zbadania bywają losy ludów
narodów!

Niejednokrotnie naród, lubo nieliczny, ale pelen
życia, wysokich zalet, przeznaczony może do ode-
grania jeszcze nieposledniej roli w dziejach, długie
wieki może żyć, pracować, cierpieć, walczyć, podle-
gać różnym losom i przewrotom i prawie nie zwraca-
ć na siebie uwagi tych szczęśliwych ludów, które
stoją na najjaśniejszym miejscu widowni świata i
których codzienna kronika fama dziennikarska po-
święca roznosi!

Takim narodom nadaje dopiero rozgłos wielkie
powodzenie lub wielkie klęski, a te ostatnie częściej
stokroć aniżeli pierwsze...

W takim położeniu znajdują się pobratymcy
chorwaci, lud w rodzinie słowiańskiej mało znany
nie tylko zachodowi, dla którego nawet w środku Eu-
ropy wiele jeszcze jest sfinksowych zagadek geo-
graficznych i etnograficznych, a'e i braciom swoim
słowianom.

Telegraf przynosi ciągle wieści o niestannych a-
takach sił podziemnych, z niepojętą zacieklnością sro-
żących się nad biedną ziemią, sił, co za szczególniej-
szą ofiarę swą obrały jej serce, przewodniczkę, sto-
licę administracyjną, a jeszcze więcej duchową...
Zagrzeb.

Trzęsienie ziemi, klęski i spustoszenie, przeraże-
nie i niepokój mieszkańców, ofiary międzynarodo-
wego współczucia, wszystko to sprawia, że Zagrzeb i
Chorwacja są w ustach i pamięci każdego niemal
umiejącego czytać, ale niejedni z prawdziwej inte-
ligencji nawet, mimowoli musi zadać sobie pytanie
co to za nieszczęśliwy naród, o którym teraz „głośno
po świecie“.

Chorwatów nie zna zachód, nie chcą znać niem-
cy, nie ze wszystkim znają nawet sami słowianie.

Tissot objaśnił już zapewne znaczną część czyta-
jących francuzów, jakie to ludy mieszkają między
Sawą i Drawą, siedzą w miastach i siolach, po nad
środkowym Dunajem, ale nie rękujemy, czy nie było
wielu takich, co, przystępując do jego „*Voyage au
pays des Tziganes*“, nie pomyśleli sobie, że dowiedzą
się coś o szczególniejszej galezi cygańskiego plemie-
nia, które nazywa się „*les Croates*“, tak jak wielu
z nich dziś jeszcze sądzi, że cyganie pochodzą z
kraju po nad Wełtawą, zwanego „*Bohème*“, i że sta-
nowią główną masę ludności tej „pogranicznej mię-
dzy Azją i Europą krajiny“.

Dla Niemców, przede wszystkim uczonych, istnieje
nader ważne i zajmujące wnętrza Afryki, Ameryki
południowej, kraje pod obn biegunami, ale sąsie-
dzi ich słowiańscy to — *tabula rasa*, która o tyle tyl-
ko zasłuziła sobie na ich łaskawą ciekawość, o ile
z wdzięczną uległością przyjmie nicoceniony dar do-
broczynnej teutońskiej ręki... germanizację.

Dla nieuczzonego wiedeńczyka, na przykład zlwlasz-
cza takiego, którego akademja jest giełda i kawiarnia
„*Kroboth is ka Mensch*“, dziś jeszcze „*a lust'ger
Wegner*“ opowie ci, że przed stu z górą laty przy-
chodzili do Wiednia straszliwe potwory w ubraniu
od góry do dołu krwią ufarbowanem, w tornistrach
na plecach miały one dzieci, przyrządzone na peke-
flejsz, a we flaszkach drewnianych lub blaszanych
„*echtes menschliches Blut*“, że bez bynajmniej-
szego wstydu i sromu zjadały ową z ludzkiego mięsa ma-
rynatę i krwią popijały po ulicach cesarskiego mia-
sta...

Nie jest to bynajmniej żart prosty. Istotnie tak się
wcielił w podania wiedeńskie owi nieustraszeni *pan-
dure* Trenka z czasów wojny siedmioletniej, je-
dyne wojsko apostołskiego monarchy, przed którym
drżał niezwykciony Fritz, dzielne hufce, co szły
do boju przy dźwięku fletu i piszczałki, w czerw-

nych kołpakach i kaftanach, z chusieczkami wyszy-
wanymi dlonią kochanek na szyi... Bilisie opijak lwy
wpadali niespodzianie, niby burza gradowa, a pusto-
szyli i lupieżyli wcale nie gorzej, niż rajtary i lands-
knechty niemieckie, przemie bowiem i grabież to
przecież nieodłączne atrybuty militarizmu, dopiero
w najnowszych czasach przez wyższą cywilizację i
prawo międzynarodowe okiełznane.

Po *pandurach* została jedna pamiątka trwała,
muzyka wojskowa — oni bowiem pierwsi zaprowa-
dzili ją u siebie; dzieci nieodrodne *spiewnego* plemie-
nia szli na śmierć, jak na gody, przy dźwięku nuty
rodzimej...

Po hufcach chorwackich, waleczących w szeregach
apostołskiego monarchy, została jeszcze inna pa-
miątka, dziś stanowiąca niezbędną część cywilizowa-
nego ubioru... *krawat*; sama nazwa wskazuje dokła-
dnie, gdzie szukać początku krawata...

Poetyczny junak nie poszedł do boju wprzód, pó-
ki nie zawiązał na szyi „*vezemi maramuz*“ — chustę
wyszywaną rękoma drogiej „*djevojki*“, która, tuląc
się do jego piersi z płaczem, przysięgała, że nie pó-
jdzie za „*nedragoga*“, ale będzie modlić się po dniach
i nocach do „*Majke Božje*“ z Remetu lub Tersatu,
aby jej „*dragoga*“ żywego i całego z bojowej wypra-
wy powrócił. Z tej nieznanej gdzieindziej ozdoby szy-
dzili towarzysze broni; niedarmo żołnierz niemiecki
u Szyllera (*Wallenstein's Lager*) pyta słowianina
„*Kroat, wo hast du dein Halsband gestohlen?*“
Z czasem świat cywilizowany poczęł naśladować
„*ludożerców*“ z nad Sawy i Drawy i dziś nikt się na
ulicę nie ruszy bez czapki i krawata!

Jest to wstyd wielki dla słowian, że się tak mało
znają sami między sobą, a jeszcze większy, że nieraz
sądzą jedni drugich podnatchnieniem oszczerstw ob-
cych, którzy na wasnieniu ich zakładają swoje in-
teresa polityczne. Jeszcze większy wstyd dla nauki,
jeżeli pozwala wpływać na siebie różnym uprzedze-
niom, jeżeli zyzem pogląda na uboczne względy stron-
nicze i dobrowolnie zamaca przezrocze źródło praw-
dy. Niech nie mówią o olimpijskim spokoju lud-
zi nauki i oni nie zawsze bywają czysti, jak kropla
krynicznej wody i oni dają się przekupić względem
politycznym, religijnym, narodowym, a czasami i o-
sobistym. Z taką nauką w obrębie sławistki chor-
waci pięćdziesiąt lat blisko toczą walkę o uznanie
najświętszych praw swoich do bytu i odrębności et-
nograficznej.

Wielu uczonych, niezadowolonych z rozdrobienia
wielkiego plemienia słowiańskiego, sądziło, że zapo-
biegnie takowemu, negując jedne narody na korzyść
drugich.

W imię tej idei chciało zdmuchnąć z powierzchni
ziemi odrębność chorwacką, a ludność w czambuł
zapędzić do sztucznej przegrody, ochrzczonej nazwą
serbizmu; między serbami i chorwatami istnieje
wspólność językowa, pewne podobieństwo w życiu i
ustroju ludowym, nawet nazwy rodowe powtarzają
się jedne i te same u jednych i u drugich, za to prze-
bieg dziejów oddzielił ich wielce pod względem reli-
gijnym, cywilizacyjnym, nawet obyczajowym.

Szlachetniejsi marzyciele pragnęli połączyć po-
łudniowych słowian, a przede wszystkim chorwatów
i serbów, pod wspólną choragwią, na równych pra-
wach; niestety usiłowania te rozbiły się o niedorze-
czne pretensje wielko-serbizmu; chciało od chorwa-
tów, aby dla mrzonki wyparli się swej przeszłości,
cywilizacji zachodniej, nazwy narodowej, ideałów
przyszłości!

Nie dziwnego, że chorwaci po junacku odrzucili te
roszczenia dzikie; dziś pracują nad sobą, nad rozwo-
jem swej indywidualności, resztę pragnień swych
pozostawiając na chwilę... upamiętania się zbłąka-
nych.

Ale interwencja nieprzychylnych im uczonych nie
pozostala bez smutnych skutków — świat mało wie
o chorwatach, najinteligentniejszych na południu słow-
iańszczyzny przedstawicielach cywilizacji zachodniej —
widmo serbskości ustawicznie ich zasłania
przed światem.

Czas jest oddać *suum cuique*, uznać chorwatów
chorwatami — niech to będzie pierwszym darem na
osłodek temu tak wielce udurzonemu w ostatnich
dniach narodowi...

Bronisław Grabowski.

„Dla chleba“.

Znałem ludzi poważnych i zkadinał nezcuiwych
którzy przecież, wzywani do głosowania w pew-
nych instytucjach, stają w rzędzie... „ludzi słomia-
nych“, a gdy z tego robi im ktoś zarzut, odpowiada-
ją krótko: czynimy to... *dla chleba*!

Znam ludzi innych z pewnym taktem i pozorną po-
wagą, którzy jednak umieją się zginać w pałak i bić
czołem wobec możniejszych, mówiąc, że o... *chleb*
im idzie.

Znam ojców, którzy przez poniżanie siebie szuka-
ją *chleba* i kariery dla swych synów; znam matki,
które dla zapewnienia *chleba* i „*lewu*“ córkom, nie
wahają się oddawać je bogatym... *starcom*.

Znam wreszcie autorów rozprawiających szeroko
o zasadach i przekonaaniach, a piszących przede-
wszystkiem *dla chleba*.

Znam słowem wielu ludzi, którzy gotowiby zrobić
wszystko *dla chleba*; niestety znam niewielu
takich, którzyby własne zasady (o ile je mają) i wła-
sną godność człowieczą wyżej *nad chleb* stawiali;
kiedys o fakecie tym pomówię może bliżej, odsłonię
otaczającą go, przezroczystą gazę i rozpatrzę, bo
wydaje on mi się ważnym i... wpływowym.

A wpływ to smutny i dający nie mało do my-
ślenia.

Z jednej strony rozwinięty w pewnych sferach
duch próżności przy potężnych środkach, z drugiej
trudne, anisłowa, warunki, przy zaraźliwej manji ży-
cia nad możność, zrodziły rozlewający się coraz
szerszym prądem i sięgający do wszystkich warstw
społecznych objaw... *szużalstwa*, karjerowiczowstwa
i czei dla... złotych cieleców.

Bo mniejszaby było, gdyby szło tutaj o jednostki
liehe i bez żadnych cech dodatnich i wyzute wreszcie
z wszelkich szlachetniejszych uczuć.

Jednostki takie w każdym społeczeństwie i w ka-
żdej jego klasie znaleźć się muszą, — a przeciwko
temu walka jest trudna.

Ale co jest dziwniejszem i co też zasługuje na
szczególniejszą uwagę, to, że w owych mnożących
się szeregach karjerowiczów spotkać można nie mały
procent ludzi, nie pozbawionych ani inteligencji, ani
pewnych przymiotów charakteru, ani wreszcie po-
czucia swej wartości moralnej.

Ludzie ci czują to nawet, że schlebając próżności
tych, od których zależą, a któremi częstokroć pogar-
dzają w duszy, poniżają swą godność osobistą, ów
najdroższy skarb ludzki; a przecież zawierają oni
zwykle kompromis z własnem swem przekonaniem
wmawiając, że tak czynić muszą *dla chleba* i... kar-
jery.

„*Mamona*“ nie jest zapewne rzeczą do pogardze-
nia choćby dlatego, że daje człowiekowi to, co naj-
wyżej może w swych stosunkach cenić powinien:
niezależność i swobodę działania; ale dochodzić do
tego przez wyparcie się swych zasad i cech ludz-
kich, — a w dodatku usprawiedliwiać się przed wła-
snem sumieniem jednym tylko względem: *dla chle-
ba*, — smutna to zaiste ostateczność i smutniejsza
jeszcze... logika.

Opinji należałoby na charakterystyczny ten objaw
zwrócić bliższą uwagę i zająć się nim szczerzej, bo
jeżeli kto, to my tembardziej, nie z poczucia godno-
ści własnej i z poczucia własnej siły moralnej tracić
nie powinniśmy

Jan Jeleński.

Czeskie noworoczne wiązanie.

(1830 — 1880.)

Starym zwyczajem bierzemy się w końcu każdego
roku do rachunku — dumamy nad tem co było i nad
tem co nas czeka...

Nie chcemy dziś jednak stawiać żadnych horosko-
pów — spieszo nam raczej dać choćby przelotne po-
równanie doby przed laty pięćdziesięcioma z chwilą
dzisiejszą.

Jakież to piękny, pocieszający iście obraz roztacza
się przed naszymi oczyma, jak zdumiewający postęp
przedstawia czeskie życie!

I jasnem się staje, że pięćdziesięcioletni trud i znój
nie poszedł na marne, że opłacił się wysiłek całego
narodu...

Dzieci słabości i niewiary olśnione tym świetnym
ruchu naszego wynikiem garną się już do wspólnej
pracy, dziś wszyscy idą naprzód — „nieobecnym“ nie
znamy!

Popatrzcie tylko jak było przed laty 50-oma a jak
jest na początku — oby najszcześniejszego — roku
1831.

Język.

Przed laty 50-oma wstydzono się głośno mówić po-
czesku. Zawsza dolatywała cię tylko gwara nie-
miecka... Zdawało się, że już ostatni wyraz czeski
wypowiedziały biedne usta. Dziś...

Szkoly.

Lat temu pięćdziesiąt na palcach policzyć było
można pokatne szkolki czeskie — dziś niema czeskie-
go miasta i czeskiej wsi bez czeskiej szkolki.

Literatura.

Przed laty 50-oma nazywano piśmiennictwo nasze
z pełnem lekceważeniem *die literarische Lischpapier-
literatur, welche man in einer Tasche wegtragen
könnte* — teraz wychodzą już osobne czasopism

bibliograficzne i czeskie roczniki poświęcone bibliografii.

Dziennikarstwo.

Lat temu pięćdziesiąt nie pomyślał nikt nawet o wydawaniu dziennika, — w tej chwili liczymy 200 gazet codziennych, tygodników i miesięczników.

Teatr.

Pół wieku temu drzemala Melpomena czeska bez ratunku — w tych czasach zaś otwarta już zostanie wspaniała świątynia muz naszych, wznosząca dumnie czoło nad brzegami Wetzawy. Wybudował ją *Naród sobie*, oharując na ten cel ze swoich skromnych środków przeszło milion guldenów... W każdym miasteczku mamy tak zwane towarzystwa dramatyczne.

Życie publiczne.

W r. 1830 biedny czech siedział skromnie w kąciku niemieckiej zaduszanej kawiarenki, dziś miasto wre życiem i wrzawą, karnawał czeski należy do najhuczniejszych a na niezliczonych balach panuje zdrowa wesołość.

I tak dalej, i tak dalej...

Czyż nie dumni mogą być Czechowie z takich szlachetnej swej roboty owoców?

Taka przeszłość sama już jest podnieta, nadal — z niej czerpiemy program pracy dla przyszłości, pracy nie bezinteresownej, przynoszącej korzyść, przyczyniającej się do dobra ludu, mówiącego i czującego po czesku...

Oto nasze wianowanie noworoczne, które jako świetna gwiazdka rokuje szczęśliwsze chwile.

Powie ktoś może, iż wianowanie to zbyt idealne... prawda, jednak szczęśliwi nie wiedzą i nie pojmują, jaką rozkoszą dla mniej szczęśliwych nadzieja i wiara w lepszą przyszłość.

Edward Jelinek.

Piosnki leśne.

Bór wycięto, spuszczone na wodę,

Pobłynęły do Gdańska olbrzymy;

Ze smolarni unoszą się dymy,

Ozerniaki kopciem kwiatki i jagodę,

Zasłaniają niebo szafirowe.

Ej gdzieście, wy, puszcze dębowe,

Gdzież te buki tak grube jak baszty...

I te sosny przydatne na maszty,

I te lipy starszaki wiekowe...

Co listkami szeptały pacierze?

Ptak ztąd uciekł — wyniosło się zwierzę,

Strumień wysychł, mechem bagna porosły...

I słowiki swe piosnki uniosły;

Tylko jak pamięć po ślekerze

Grube pniaki przysiadły na ziemi...

Gwiazdy patrzą oczami złotymi,

Patrz jakże żalostnie, a smutnie —

W listki wierzby wiatr trąca jak w lutni,

I coś śpiewa tonami równymi,

Jakby we łzach ukapał swe pieśni...

Sława głowę grzyb wytchnął z pod pleśni...

Nocną ciszą oddycha, i patrzy

W srebrny miesiąc, co robi się bladejszy

I chce zmieścić swoją głowę wcześniej,

Nim ją słońce osłupi promienne...

Mgły się wleka powoli, jak sennie,

Idą w niebo jak smutne westchnienie...

Słońce wstaje, i rzuca promienie

Na uśpione jezioro bezdenne,

Igrając perłami wśród fal...

Kto tu płacze? kto płoszą się żali?

Kto łyż gorzkie dobywa z ukrycia,

Kiedy wszystko się budzi do życia,

Gdy wschód słońca purpurą zapali...

Kiedy ptaki śpiewają radośnie?

Hajże patrzcie, wśród pniaków coś rośnie,

I cichą rzuca na trawy zielone;

To drzew silnych młode pokolenie,

Które śpiewa piosenkę o wiosnie,

I krzepiące hymny o nadziei...

Klemens Junosza.

Serce ludzkie będzie chyba wiecznie już dzieckiem zepentem, wylamującym się z pod prawa postępu. W dziedzinie moralnej, którą serce z siebie wytwarza, nie wiele się zmienia, a mniej jeszcze postępuje. Weźmy na przykład, sprawę tak z samej nazwy swej serdeczną, jak miłość bliźniego. Mamy ją dziś niewątpliwie i dowodzimy jej przez zakładanie uzewnętrzniających ją instytucji. Ale czyż głównym popełnieniem dla energii naszej nie jest chęć pozbycia się niedogodnej nędzy? Kochamy siebie w drugich, nienawidzimy nędzę cudzych przez myśl o nędzy własnej. Dla tej samej przyczyny usuwamy zdechłego psa z ulicy, dla jakiej nieraz odwracamy oczy od zebrań. Altruizm nasz rzadko bywa czystą miłością bli-

źniego; daleko częściej jest nienawiścią, niezaspokojonej potrzeby, niezaradnej niemocy, upadającej nędzy.

Weźmy znowu inną stronę życia: prawdę w czynach. Wypędziliśmy jezuitów, aleśmy nie wypędzili jezuityzmu i wszyscyśmy się potrosze na jezuitów poprzerabiali. Kłamstwo o wiele wyższe ma dziś znaczenie, niż w wiekach średnich. Zmniejszyła się liczba rozbojników po drogach i lasach, ale zwiększyła liczba krzywoprzysięców, oszustów i złodziei w codziennym obcowaniu naszym. Nie ścigano dawniej rozbojników dla braku porządku i siły państwowej; dziś krzywoprzysięcom, oszustom a nawet złodziejom podajemy rękę bez zarumienienia się.

Indywidualizm przez postęp zyskał wolność — ale ta wolność bywa aż nadto często wolnością bezprawia, grzechu, gniotącej nędzy i śmierci przedwczesnej. Ilość dlawi jakość. Ludzkość dzisiejsza żyje łatwiej i pełniej; ale nie żyje lepiej i szczęśliwiej. Powierzchniowe, mechaniczne, policyjne urządzenie bytu filistrów tylko zaspokoje może; duszom wyższym cały ten postęp dzisiejszy głębię tęsknot i pożądań podnioslejszych zapełnić nie zdoła.

Wielkim nazwać się może ten tylko wiek, w którym żyć można dla wielkich czynów, umierać za wielkie, myśleć a w jednym i w drugim znajdować oddźwięk w sercu własnego narodu i w uczuciu powszechnem ludzkości.

Stanisław Krzemiński.

MYSLI.

Bóg jednością, miliony rządzić jego sfera,

Odejmij jedność zerem, zostaną się zera.

Kobiecie On przeznaczył zakres działań mały,

Tylko rodzinne koło, lecz z niego świat cały.

Nie ta prawdziwa wielkość, która w oczy bije,

Źródło, co kwiat ożywia, pod ziemią się kryje.

Szczęśliwy, czyje serce nie pamięta złości,

Bo do takiego Chrystus raz wraz schodzi w gości.

Skromność zwykle unika gwaru i przepychu,

Anioli ma tylko skrzydła, a mówi po cichu.

Serce człowieka skarbem, prawda nas naucza,

Szczęśliwy, komu Pan Bóg użyje doń klucza.

Tłum czarnych myśli często na mą głowę leci,

Cmy noene, a to po co? czyż ta głowa świeci?

Historii życia ludzi watek wciąż ten samy,

Jeden i ten sam obraz, tylko różne ramy.

Lenartowicz.

KOLENDA.

Ze świętami Bożego narodzenia i Nowego roku wiąże się wiele uroczystości i zwyczajów ludowych, zachowywanych przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Uroczystości i zwyczaje owe zwykle sięgają dalekiej bardzo przeszłości. Do takich właśnie zabytków należy i kolenda.

I pieśni kościelne wołają: „hej kolenda! kolenda!“ i upominki przeróżne tym wyrazem mianujemy, a ustna literatura ludu przedstawia nam siłą zwrotów poetycznych z imionami *kolad* i *kolend*.

Dlaczego więc kolenda trzyma się tak uporeczywie świat zakresu noworocznego? czy to dla igraszki się dzieje, czy rzeczywiste wyraz ten ukrywa w sobie pojęcie głębszej natury?

Może nie każdy z czytelników zastanawiał się nad tem zjawiskiem, więc mu ułatwiamy rozwiązanie zagadki.

U wszystkich ludów pogańskich słońce i księżyc, ziemia i ogień, woda i wiatr i różne zjawiska przyrody odbierały część boską.

Słońce jednak i księżyc uważano za główne bóstwa, którym nazwy dawano przeróżne; nazwiska tych bóstw zależały od wielu bardzo okoliczności, których niepodobna tłumaczyć w krótkim artykule.

W staroparskiej np. mitologii *Ormuzd* i *Ariman* oznaczają bóstwo słońca i księżyca, podobnie, jak nasz *Belbog* i *Czernobog*, o których piszą kronikarze obcy z czasów polskiego pogaństwa.

Podobnie też i bóstwa takie, jak: *Światowid*, *Trigław*, *Perun*, *Jesse*, *Perkun*, albo skandynawski *Thor* lub *Jowisz* klasycznego świata oznaczają słońce.

Było to bóstwo dobre, twórcze, opiekujące się losami człowieka i świata całego.

Ale jasny *Belbog* nie panował w spokoju; musiał

on ustawiczne walki stoczyć z równie silnym bóstwem *Czernobogiem*; mitologje wszytkie i nasze po, dania ludowe przedstawiają tysiące przykładów walki boga światła z bogiem ciemności, pierwiastkiem zniszczenia i ciemności.

Światowid np. miał konia białego, na którym wyjeżdżał do walki z bogiem ciemności. Walka ta każdego roku kończyła się klęską słońca; w jesieni zwyciężał bóg zniszczenia, czarny bóg i sam panował nad światem. Lecz panowanie jego było krótkie; albowiem przy końcu grudnia, słońce spycha z tronu swego współzawodnika i samo na nim zasiada. Jest ono jeszcze słabe, wycieńczone walką, ale ku wiosnie wzmożni się potężnie, aby błysnąć majestatem jedynowładztwa swego...

Pojęcia te osnute były na obserwacji pochodzącego słońca i na samem działaniu słońca.

Człowiek pogański, a tem samem i słowianin z doby przedhistorycznej widział w słońcu uosobione dobro; pod jego bowiem wpływem i drzewa zakwitły i ziemia okrywała się lanami zboża i zwierzęta wszelakie rozradowały się, słowem cała natura zakipiała życiem.

A ponieważ życie to rozwijało się stopniowo, więc w sile i działaniu słońca pogański człowiek widział różne periody.

W czasach naszego noworoczna dzień staje się dłuższy, więc słońce zaczyna się wyswabzać z okowów zimy. Później nadchodzi najwyższa działalność słońca w końcu czerwca. Wreszcie zbliża się stopniowe jego umieranie, które się kończy w grudniu zupełną śmiercią. Wtedy noc jest najdłuższa.

Jakoż względnie do tych periodów człowiek pogański obchodził uroczystości na cześć słońca.

Więć sobótki, wianki, konik zwierzyniecki, kupali, hańtury, dziady itp. obrzędy ludowe, mają znaczenie świąt słonecznych.

Na zasadzie powyższej rzeczy przystępujemy do tłumaczenia kolendy.

U staroparsów pierwszą uroczystością roku była *Mihrgan*, t. j. uroczystość nowonarodzonego słońca, odbywała się ona na końcu grudnia, w czasie kiedy słońce zaczyna się powiększać.

Uroczystości tej ważnym przymiotem były zabawy, ofiary i przeróżne dary.

Podobnie rzymskie *festum natalis solis invicti* było uroczystością na cześć narodzin niezwycięzonego słońca; odprowadzano wtedy *kolendy* przez huczne zabawy i obdzielanie się darami.

Wedle badań Hanusza, nasza kolenda jest identyczna z parską uroczystością *Mihrganu*.

Czesi, słowacy i serbowie, uroczystości noworoczne nazywają *Koleda*.

Uroczystości *Kolad* rozpoczynały się zawsze w wigilię 25-go grudnia; były to czasy radości, wymiany prezentów i wszelkich igrzysk.

Tacy badacze jak *Karamzin*, *Rakowiecki*, *Kaydar* i inni dowiedli, że u rosjan dzień 24-go grudnia był poświęcony mężkemu bóstwu uciech, uczt i pokoju zwanem *Kolada*.

Kollar w badaniach swoich doszedł, że *Kolada* jest córką słońca; *Strykowski* widzi w *kolendzie* osobne bóstwo.

Kwasznin-Samarin na zasadzie pieśni ludu pińskiego uważa *Koladę* za matkę słońca.

W pieśniach bułgarskich *Kolada* jest bóstwem, czezonem na noworoczne; śpiewają tam między innymi:

Oj! Kolenda, Boga Kolenda!

Visznu Boga niza razedeva, i t. d.

Podania znów serbskie głoszą, że w nocy wigilijnej w *bożym zamku*, w rajn, rosną drzewa ze złotymi gałęziami i srebrnymi liśćmi, a na łożach pokrytych kwieciami spoczywają bogowie; w owym raju urodziło się młode słońce.

Wypadałoby nam jeszcze zastanowić się nad przeróżnymi nazwami świat z okresu noworocznego, jak również rozebrać znaczenie potraw spożywanych w wigilię; — szczupłość jednak ram naszej rzeczy nie pozwala na to.

Nadmieniamy tylko, że we wszystkich nazwach uroczystości noworocznych i w obrzędach im towarzyszących żyje zasada mitologiczna pogańskich słowian i powinowatych im ludów.

Nawet potrawy, jak miód, mak, migdały i t. p. spożywane w wigilię, mają symboliczne znaczenie.

Wreszcie słowiańskie miana kolendy spotykamy u rzymian, jako *Kalendas*, a u indjan *Kalenda*. Tak u nas, jak i tam do *kolend* przywiązane są uroczystości noworoczne.

Mitologje wszystkich ludów stwierdzają, że słońce, owo bóstwo najwyższe pogan, czezone było pod różnego rodzaju nazwami.

Czy to więc będzie *Światowid*, czy *Heljos*, czy *Perkun*, czy wreszcie *kolada* albo *kolenda*, zawsze to miana oznaczają bożą zasadę słońca.

Na tej więc podstawie kolenda i nasze uroczystości noworoczne przechowały się po dzisiejsze czasy jako zabytki po kulcie słońca.

Wiara w boskość słońca upadła przed promieniami nauki Chrystusa, ale obrzędy po niej żyją jeszcze pomiędzy nami.

Jak zaś w pierwszych wiekach chrześcijaństwa część oddawana słońcu była silną, mamy najlepszy dowód w tem, że kościół zniewolonym był na dzień 25-go grudnia przenieść uroczystość Narodzenia Chrystusa Pana; dokonano tego w IV stuleciu po Chrystusie.

Tak więc nasze uroczystości kolend, pomimo, że sięgają pochodzeniem swoim pogańskich czasów, oznaczają dzisiaj gody i wesele z powodu Narodzenia Chrystusa Pana.

Na ołtarzach boga-słońca, Belboga, zajaśniało Dzieciątko Jezus.

Prawda przeżywana w pogaństwie zajaśniała całym blaskiem w epoce chrześcijaństwa...

F. K. Martynowski.

Bilans roczny.

Każdy rozsądny przemysłowiec lub kupiec sporządza z końcem roku bilans. Toż samo można powiedzieć o społeczeństwie... Zebranie w skoncentrowaną całość rezultatów działalności w pewnym okresie czasu, uwidocznienie sobie ich pożytku i szkody, zalet i braków, przynosi dla sprawy nieporównanie wiele korzyści. Wiedząc, cośmy już zrobili, wiedzieć będziemy, co nam jeszcze pozostaje do zrobienia. Dowodzić tego nie trzeba.

Rzecz niniejsza ma być właśnie takim bilansem rocznym naszego społeczeństwa, o ile wiernym i pomysłnym — czytelnicy osądzą.

Rok ubiegły nie miał wogóle jasnej fizjonomii. W przyrodzie — burze i kłęski, w gospodarstwie rolnem — urodzaj słaby, w przemyśle i handlu — wyczekiwanie, oto jego wybitne cechy. Odnosnie do nas nieurodzaj nie dał się czuć zbyt dotkliwie, za to przecież sytuacja nasza ekonomiczna była w zasadzie zwichnięta wskutek ujemnego wpływu niskiego kursu waluty rosyjskiej...

Wogóle od lat kilku, dzięki właśnie warunkom kursu szkodliwie na inne sfery stosunków ekonomicznych oddziaływającym, rolnictwo nasze znajduje się w bardzo korzystnych warunkach. Gdy ceny wyrobów przemysłowych, dzięki dążności konkurencyjnej zagranicy, pozostają w mierze, a ludność miejska cierpi na podnoszenie się cen artykułów najpięrszych potrzeb, — rolnik odnosi na tem znaczne zyski, a jednocześnie cena ziemi wzrasta w dwój, trójnasób. Fakt to stwierdzony!

Do rzędu najważniejszych w dziejach naszego rolnictwa w roku ubiegłym faktów należy: wystawa koni — wypracowanie kodeksu leśnego przez specjalnie w tym celu wybraną komisję — i założenie stacji nasion przy warszawskim muzeum przemysłu i rolnictwa. Pomijając już pierwszą, która przy wielkim splendorze omyliła nadzieje co do doniosłości praktycznej, zwrócić należy uwagę na dwa drugie, wielce pocieszające fakty. Stacja nasion, która z czasem rozwinąć się zamierza w zupełną stację rolniczą, funkcjonować zaczęła od grudnia pod kierunkiem dra Sempolowskiego, projekt zaś kodeksu leśnego przedstawiony już został władzom do zatwierdzenia. Za przyprowadzenie do pożądanego skutku ołudwu tych spraw należy się szczerze uznać ludziom dobrej woli.

Dalej wspomnieć należy o ostatecznie wypracowanym przez Tow. kred. ziemskie projekcie instytucji kredytu melioracyjnego dla gospodarstw rolnych, który niedługo przedstawiony będzie władzom wyższym do zatwierdzenia i o zaaprobowanych w zasadzie projektach budowy kolei dąbrowsko-dębskiej i regulacji Wisły; obydwa te fakty zarówno są ważne dla przemysłu, jak i dla rolnictwa.

W roku ubiegłym towarzyszyły pilnie rolnikom naszym w pracy dwa pisma specjalne, *Gazeta rolnicza*, która pod kierownictwem p. Trylskiego dosięgała niesłychanego dotąd w dziejach naszych pism rolniczych rozwoju — i *Tygodnik rolniczy*, który od Nowego roku wejść ma na nową drogę; wychodził uadto dodatek rolniczy do *Gazety warszawskiej*, i dodatek popularny dla włościan, dołączany do *Zorzy*. Od Nowego roku przybywa jeszcze, jako samodzielny organ, traktować mający rzeczy gospodarcze popularnie *Kurjer rolniczy*.

Przechodźmy do przemysłu. Trudno zaprzeczyć, iż przemysł nasz w chwili obecnej znajduje się w warunkach względnie anormalnych, — cały bowiem jego gmach oparty jest głównie na walacie i protekcji. Zaprzeczać tego nie można. Inna rzecz, czy usunięcie szkodliwych, które pozwoliły przemysłowi wybujać tak wysoko, zwali go stanowczo z nóg. W każdym razie anormalnie potężny wzrost nasuwa poważne obawy o trwałość jego istnienia.

Wogóle cały ogromny przemysł, stworzony na południowo-zachodnim krańcu Królestwa, dzięki walucie i cłui, oprócz swej chwiejności, posiada niezmiernie ważną, dotkliwą wadę — jest on wyłącznie prawie niemiecki, bliżej zaś ku nam żydowski. Ludność nasza, jeśli ma udział w pracy, to najmniej korzystny. W każdym razie nie można zaprzeczyć, że pomimo wszystko cały ów przemysł wzbogaca kraj...

Rok ubiegły przyniósł nam w dziedzinie przemysłu wiele nowego. Powstało mianowicie sporo nowych fabryk, szczególnie na południowo-zachodnim pograniczu, w Sosnowcu, Zawierciu, Częstochowie i okolicy. Papiernie, fabryki szkła, wyrobów drewnianych, fabryki żelazne wyrastały tam jak grzyby po deszczu. Przyrost fabryk tkackich, tak gwałtowny w ciągu poprzednich kilku lat, obecnie ustął. Za to w Warszawie i różnych okolicach kraju powstawało wiele fabryk i zakładów wyrabiających różne drobniejsze przedmioty, jakoto: fabryki pudełek, zabawek, zapalek, lamp, perfum, krawatów i t. d. i t. d. Zakłady te, oparte więcej na siłach miejscowych, a mniej obciążone na różnicę kursu i protekcijne cła, mają podstawy trwalsze i pewniejsze. Pocieszającym także objawem był i jest rozwój górnictwa krajowego, a szczególnie eksploatacji węgla kamiennego.

Faktem wybitnym w roku upłynionym była wystawa tkacka w muzeum przemysłowym, która przekonała ogół, że to, co brano dotąd za wyrób zagraniczny, jest wyrobem produkowanym w kraju, a nader tanim; wystawa ta najlepiej zaświadczyła o ogromie krajowego przemysłu tkackiego.

W roku 1880 przemysł żelazny u nas znalazł się w nowych warunkach. Systemat cel protekcyjnych i różnych licencji został zasadniczo zmieniony. Pomimo to, o ile dotąd spospródzić można, przemysłowi temu nie grozi wcale kryzys, owszem, nie przestaje on się rozwijać. Dowodem — utworzenie towarzystwa fabryki stali. Jestto pocieszające. Zmiana systematu cel wpłynąć nawet może korzystnie na rozwój eksploatacji krajowej rudy żelaznej.

Drobny przemysł i rzemiosła nie odznaczały się niczem nadzwyczajnem. Wegetowały one, jak zawsze. W muzeum przemysłowym myślano o środkach ożywienia przemysłu drobnego, rzecz przecież pozostała tylko w dziedzinie projektu.

Jedną z najczęściej poruszanych spraw u nas jest i był brak szkół technicznych. Ostatnio dla sprawy tej wiele zrobiono. Oprócz istniejącej oddawna wyższej szkoły rzemiosł w Łodzi i szkół realnych rządowych założono kilka szkół technicznych kolejowych i szkół rzemieślniczych w Warszawie. Na porządku dziennym stoi ciągle projekt wyższej szkoły technicznej w naszym mieście, usilnie popieranej przez p. Blocha.

Zaznaczyć wreszcie należy działalność komisji fabrycznej, która badała fabryki warszawskie pod względem sanitarnym i z inicjatywy której wprowadzone w nich zostały różne ulepszenia.

Dalej kilka słów o handlu. Jak wiadomo, Królestwo, a specjalnie Warszawa, znajduje się w korzystnych warunkach, jako pośredni punkt handlowy, z warunków tych jednak nie potrafiliśmy dotąd należycie skorzystać. Brak nam składów, agencji i komunikacji. Wiele się mówi o zaradzeniu tym brakom — ale robi niewiele, nie prawie. W roku ubiegłym było jak zwykle.

Stosunków handlowych i kredytowych w roku upłynionym nie można wcale nazwać świetnymi. Fluktuacje kursu nadawały sytuacji pewną widoczną chwiejność, tem bardziej, że spekulacja w podobnych wypadkach nie omieszkiwa nigdy korzystać ze sposobności. Dodać trzeba, że wynikiem ogólnego utrudnienia warunków bytu była między innemi stagnacja w handlu. Kredyt wogóle stał się bardzo trudnym, a instytucje finansowe zwiększyły znacznie stopę dyskonta. Rezultatem takiego stanu rzeczy były, na nieszczęście, liczne stosunkowo upadłości...

Pomimo tak mało pocieszającego obrotu rzeczy w tej gałęzi, poważne instytucje kredytowe, dzięki tradycyjnie umietyjnemu i ostrożnemu prowadzeniu interesów, nie zostały narażone na żaden szwank, — owszem, rozwijały się stale i przynosiły spore zyski.

Życie społeczne, ekonomiczne i towarzyskie koncentruje się zazwyczaj po miastach. U nas jednak miasta wogóle przedstawiały się wcale nie świetnie, bo oprócz Warszawy, Lublina, Płocka, Kalisza i kilku miast fabrycznych, przepelnionych żywiołem germańskim, reszta miast i miasteczek wegetowała raczej, aniżeli żyła. Szczególniej pod względem umysłowym zaślaniały je chmury nieprzejrzane. Ostatnimi przecież czasy i tu zaczęły się budzić żywsze pulsa. Od czasu do czasu koncerty amatorskie i odczyty przerywały monotonię. Tworzyły się straża ogniowe ochotnicze, mające zaradzić fatalnym kłeskom pożaru, periodycznie obracające wperzynę karciane budowy naszych miast i miasteczek. Zakładano czytelnie i towarzystwa dobroczynności. W Kaliszu, Kielcach, Lublinie, Płocku i Łodzi istniały pisma miejscowe,

a w innych miastach gubernjalnych starano się o założenie podobnych organów. Powstało kilka kas pożyczkowych i oszczędności przy różnych urzędach. Otwierano sklepy spożywcze, — i myślano nawet o stowarzyszeniach zaliczkowych. Wreszcie dobrą dla życia naszych miast i miasteczek wróżbą jest spodziewane już wkrótce uzyskanie sankcji rządowej dla Towarzystwa kredytowego miast prowincjonalnych, które pod swym bokiem utworzyć pragnie praszczur naszych instytucji kredytowych, Tow. kred. ziemskie.

Jeżeli jednak życie na całej prowincji przedstawia zaledwo zarodek lepszej przeszłości, to w przeciwstawieniu Warszawa już obecnie wiedzie energiczny, pulsujący żywot. W roku ubiegłym miasto nasze rozwijało się, jak i lat poprzednich; wzrost ludności szedł ciągle *crescendo*. Gospodarstwo miejskie, dzięki usiłowaniom p. prezydenta miasta, było na najlepszej drodze, a palące kwestje tramwajów, kanalizacji, wodociągu i gazu, oddawna wiszące na kółku, są już obecnie bliskimi załatwienia. Pomimo wzrostu ludności, ruch budowlany w mieście, sięgający niedawno olbrzymich rozmiarów, zmniejszył się znacznie. Ruch handlowy i przemysłowy w Warszawie walczył o lepsze z działalnością umysłową i artystyczną. O handlu i przemyśle mówiliśmy już, — ruch umysłowy przejawiał się głównie w obfitej strawie dziennikarskiej; książek brakło, pochłonięte je gazety. Objawy działalności artystycznej, były liczne i rozmaite, że wspomniemy tylko sceny rządowe, liczne koncerty i trzy nowe, stałe wystawy. Zresztą ocena ruchu umysłowego wykracza poza ramy obecnego naszego przeglądu — i dlatego pozostawimy ją na boku.

Wies we względzie dobrobytu daleko jest szczęśliwszą, aniżeli miasto. Ogólny pomysłny stan gospodarstwa rolnego odbijał się nader korzystnie na włościanach. Dwory także stały dobrze.

I wieś jednak ma swe ciemne strony. Trudno stosunki urzędowe, — zależność pomimo wszystko od żywiołu izraelskiego, zagarniającego w swe ręce wszelką działalność pośredniczącą, — nieuregulowane służebności, — brak oświaty i trudność jej nabywania w niewytrzymujących żadnej krytyki szkołach elementarnych, — wreszcie wynikający z poprzedniego niski stopień moralności: oto są odwrotne strony medalu. Dadzą się one zredukować do dwóch zasadniczych punktów: braku oświaty — i trudnych stosunków administracyjnych. Horyzont tych ostatnich poczyną się ostatnimi czasy rozwidniać, a za niemi pójdzie może i oświata...

Wreszcie rzucić należy okiem na kościół, szkoły i działalność filantropijną.

Kościół u nas stał wogóle na staniowisku nader podniosłym i pomimo różnych trudności stojących mu na drodze, działalność jego odpowiada w zupełności zadaniu. Pasterze duchowni mają zawsze szeroki wpływ na swą gromadkę, a praca duchowna osiąga umoralnienie ludu! Pole wiedzy kościelnej w roku upłynionym nie leżało odlogiem, — widzieliśmy także sporo prac popularnych naszych kapłanów. Godną jest również uwagi działalność mającą na celu starania o zewnętrzne uświetnienie służby Bożej. Składka kilkudziesięciotysięczna, zebrana na budowę kościoła W.W. Świętych, nowo wykończony wspaniały kościół ewangelicko-reformowany na Lesznie, mnóstwo wreszcie nowo wzniesionych i przyozdobionych świątyni w kraju, świadcza najlepiej o dbałości naszego ogółu o jego miejsca modlitwy.

Szkoły są u nas jedną z najdotkliwszych bolączek społecznych. Język wykładowy nie dość zrozumiały dla uczniów, systemat klasyczny w formie, potępionej dziś arzędownie, brak miejsc w murach szkolnych, oto tło obrazu. Szkoły elementarne stoją wogóle bardzo nisko, winą czego jest słabe uposażenie nauczycieli. W roku upłynionym silniej aniżeli kiedykolwiek przejawiało się dążenie do murów szkolnych. Brak miejsc zmusił jednakowoż setki dzieci do odejścia próżno od bram świątyni. Wszystkie zakłady zostały przepelnione aż po brzegi, — a nowych szkół zakładać nam nie dano... W roku tym próżno także pukano do władz o dozwolenie towarzystw pomocy materialnej dla uczącej się młodzieży...

Na zakończenie niniejszego wspomnień wreszcie należy o działalności filantropijnej naszego społeczeństwa. Czułość w tym kierunku jest silnie u nas rozwinięta, a dobroczynność stanowi jedną z najgłośniejszych naszych cnót. Umiemy i umieliśmy wspierać nędzę, zarówno przy najpoważniejszej pracy, jak i przy zabawie, głośno i w ciszy gabinetów, — a rok ubiegły był niegarnym bratem lat innych. Oprócz instytucji, które lata całe żyją z doraźnych ofiar, dość przypomnieć szlachaków, dla których obfite u nas zebrano ofiary, powodzian w sandomierskim i biedaków, dotkniętych kłeską nieurodzaju w stopnickim. Ogół nasz nie zapomniał o nich. W roku ubiegłym do liczby nazwisk, zapisanych na złotej tablicy filantropji, przybyły jeszcze

dwa: dra Katarzyńskiego i pani Tekli Rapackiej. Pierwszy ofiarował na cele dobroczynne kilkanaście tysięcy rubli, druga poświęciła cały swój kilkakrotnie stotyśięczny majątek... Wreszcie wspomnieć należy o jednej jeszcze instytucji, która niezadługo powiększy długi towarzystw i instytucji dobroczynnych szereg. Jest to towarzystwo opieki nad dziećmi, nad wyrobieniem ustawy którego pracują energicznie ludzie dobrej woli.

H. Nagiel.

Nagroda doczesna.

Pan Paweł, adwokat, wrócił do domu z wesołego obiadu.

Była czwarta po południu, w dzień zimowy. Na ulicy śnieg, sypek jak pierze, leżał tak grubo, że tonęły w nim kalosze największego kalibru.

Niebo znikło, nad dachami zwisały się chmury gęste, szare, beładne. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, która nie znalazłszy dość miejsca na ulicach, wiskała się do kominów, do mieszkań, wlażyła przez chodniki pod czapki, za kołnierze, w rękawy, nareszcie w płuca i mózg.

Zapewne skutkiem tego pan Paweł wrócił do domu, jak struty. Z niesmakiem wyobrażał sobie obiadową poledwiec, uczył wstręt do indyka, a o szesnastu nie mógł myśleć. Gdy zaś przypomniał sobie dopiero co wypite wina węgierskie, szampańskie i hiszpańskie, wstrząsnął się...

Przeklęta wilgoć zepsuła mu obiad!

Adwokat był chory. Zdawało mu się, że w salonie jest zimno, choć do pieca nie można było ręki przyłożyć. Spojrzał na termometr: 15 stopni, więc zimno nie jest. Usiadł na fotelu i kiedy dotknął aksamitu, uczył dreszcz.

Wziął się za puls — bije prędko. Wziął się za głowę — gorąco. Przy niepewnym świetle kończącego się dnia zajrzał w lustro i spostrzegł bladłość na twarzy, a w oczach osłupienie. Uczył znowu dreszcz, zawrót głowy, ból w kościach...

— Ej! czy to nie tyfusik? — mruknął. — Przeklęta wilgoć.

Zdjął surdut i włożył ciepły szlafrok. Pomyślał o pomocy lekarskiej, ale na nieszczęście służącego nie było. Uzbroidł się więc w cierpliwość — i — leżał na szesłagu w salonie.

Spojrzał w okno. Na dworze padał w tej chwili śnieg coraz większymi płatami. Z początku wyglądały one, jak podarte papierki, później dosięgły wymiarów kokardy balowego krawata, potem stały się tak wielkie jak — chustki do nosa.

Pan Paweł przetarł oczy: płaty śniegu zmniejszyły się, ale po upływie minuty były większe od przesłania.

A jak gesto sypały! Na ulicy o ćwierć łokcia nie można było odróżnić dorożki od milicjanta. Ogromne tumany śniegu kręciły się, wlatywały w górę, biegły poziomo. Niekiedy wiatr je rozdzierał, a wówczas zdawało się, że opada jakaś biała kurtyna, po za którą widać ciemną głębię ulicy, zaśnieżone dachy i światła w oknach.

Ale adwokata już nie drażnił ten porywisty widok.

Owszem pan Paweł był spokojniejszy. Opuszczył go dreszcz, a na plecach uczył ciepło. Kości bolały go mniej, puls był wolniejszy, zawrót głowy ustąpił. Pozostało tylko przyjemne znużenie: w nogach, w rękach, w całym ciele. Stopniowo znużenie to dosięgnęło palców i włosów, rozlało się po szlafroku, ogarnęło nawet szesłag — i — pan Paweł zaczął marzyć...

Marzył o tem, że na dworze jest lato, że on sam jest uosobionem zdrowiem, że wina hiszpańskie szkód organizmowi nie przynoszą... Następnie majaczyło mu się, że poobiedni sen jest cudownym wynalazkiem i że by był już czas znaleźć sobie towarzyszkę życia.

W ciepłym szlafroku, na szesłagu, pan Paweł uczył się tak szczęśliwym, jak nigdy. Zdawało mu się, że słyszy szelest skrzydeł Morfeusza i gotów był założyć się o wielką sumę, że najmilszą rozkoszą na ziemi jest sen po obfitym obiedzie — z winem.

Na dworze wilgoć stała się bardziej przejmującą, a śnieg padał gęściej niż dotychczas.

Gdy Pan Paweł, już ostatni raz, otwierał powieki, ażeby je zamknąć na parę godzin, w tej chwili w salonie rozległo się dzwonięcie ciche, delikatne. Nastąpiła przerwa, dzwonek poraz drugi zaczął się chwilać i znowu zadzwieczał — jeszcze delikatniej.

— Złodziej! — pomyślał pan Paweł, nie ruszając się.

Było mu tak przyjemnie na sprężystym szesłagu, że nie drgnąłby, gdyby go złodziej napadł.

Dzwonek znowu zachwiał się.

— Nie, to nie złodziej. To ktoś, co nieśmiało dzwoni. Pewnie jakiś nieszczęśliwy interesant... Niech go licho porwie!...

Znowu zadzwoniono.

— Kto załatwia interesa na taką zawieruchę? — myślał pan Paweł. — Zapewne ktoś będący w wielkim kłopotcie. Ale jaką ja mu dam radę, kiedy mi się tak spać chce?...

I znowu zadzwoniono.

— Ten nudziarz musi mieć djabelnie ważną sprawę, naturalnie własną; bo gdyby o mnie chodziło, dzwoniłby jak na wielkanoc.

Boże! jak mi się spać chce... Jakim ja znużony!... Dalbym mu dziesięć rubli żeby sobie poszedł...

Ale ponieważ interesant nie odszedł, a pan Paweł miał dobre serce, więc zakławszy w duchu na czem świat stoi, podniósł się i otworzył drzwi.

Na progu stał jego znajomy — pan Gaweł — ubrany (na taką zawieruchę!) w lekki paltot i szapoklak. Zobaczywszy pana Pawła, gość otrząsnął się ze śniegu jak pies, i pokornie zdjął kapelusz. Ręka, którą podał Pawłowi, była zimna, zmoczona śniegiem, skostniała.

Pan Paweł wprowadził Gaweł do salonu; gdy zapalił świecę, spostrzegł, że przybysz ma ubranie podszarżane, twarz chorą, a w oczach rozpacz.

Pawłowi ścisnęło się serce. Pomyślał, że jego znajomy musi być w wielkiej biedzie i że trzeba mu dać kilkanaście rubli. Zrobiwszy tak szlachetne postanowienie — ziewnął i obejrzał się na swój szesłag, na którym jeszcze znać było dołek wyfloczony przez leżenie.

— Ratuj mnie pan! — odezwał się gość, bez żadnych wstępów; — jestem w takiej nędzy, z żoną i dziećmi, że jeżeli nie znajdę pomocy, zabiję się...

— Ile panu potrzeba? — zapytał adwokat, zasnijając usta ręką. — W tej chwili nie umiałby powiedzieć, co było gorszem: czy nędza Gaweł, czy jego senność.

— Nie mi nie potrzeba — odparł Gaweł. — Pieniędzy nie przyjmę, choć pracy... Pomimo rozpaczliwego położenia rozumiem, że jałmużna upodli mnie tylko, nie zbawi. Pracę daj mi pan, pracę!...

Gość był tak wzruszony, że się trząsł. Zacierał sine ręce i chował je pod surdut, a w oczach pokazywały mu się łzy, które napróżno usiłował powstrzymać.

Rozmarzonemu Pawłowi przypominało się, że w czasie obiadu pewien znajomy przemysłowiec zapytywał go: czy nie może mu zarekomendować zdolnego buchaltera a zarazem korespondenta? Gaweł był takim, mógł dostać posadę i tysiąc rubli pensji...

Należało jednak spieszyć się, bo pytanie to słyszeli inni współbiedniacy, a w Warszawie konkurencja jest wielka.

Spieszyć się, to znaczy jechać natychmiast, wyrzucić surdut, który morzył Pawła i narazić się na wilgoć, która mogła nabawić go kataru.

Strach — jak nie chciało się adwokatowi porzucić szlafroka, ciepłego mieszkania i szesłagu, który ciągnął go jak magnes żelazo. Ale pan Paweł miał miękkie serce, więc...

Ziewnął kilka razy, przebrał się — i — pojechał z Gaweł. Stracił poobiedni sen, dostał kataru, bólu głowy, lecz — biedakowi wyrobił posadę.

Gaweł był ośniony. Dziękował Pawłowi w imieniu swojej nieszczęśliwej rodziny, nazywał go dobrodziejem, zbawcą i oświadczył gotowość do oddania mu własnego życia.

— Mała rzecz! — odpowiedział Paweł. — Ale żebyś pan wiedział, jak mi się spać chciało!...

Zdanie to głęboko utkwiło w sercu Gaweł. Znał on życie i wiedział, że sen jest przyjemnością a wyrzeczenie się jego — ofiarą niegorszą od innych.

Od tej chwili w każdej porze dnia myślał o jednym: aby — jeżeli nie wynagrodzić Pawłowi za jego poświęcenie, to przynajmniej okazać mu, że odczuł jego szlachetną ofiarę, i płaci wdzięcznością...

Myśl ta zaprzętała mu głowę przez pół roku. Chodziła za nim po mieście, zasiadała przy biurku, jadła z nim obiad, kładła się obok niego w łóżko. Aż Gaweł zesmutniał, a żona poczęła obawiać się o jego wątłe zdrowie.

Tymczasem Paweł widząc, że siwizna poczyna mu bielić włosy, coraz goręcej zajmował się projektem wejścia w związek małżeński. Z dnia na dzień większe wrażenie robiły na nim kobiety i z pewnością ożeniłby się już kilka razy, gdyby nie — fatalna nieśmiałość. Pomimo wiary w siebie, dobrych chęci i licznych stosunków, pan Paweł trwał wciąż w grzechu kawalerstwa, bo — nie umiał się oświadczyć.

Szczególniej wpadła mu w oko pewna wdówka młoda, przystojna i majątna, która także miała gust do pana Pawła. Z nim rozmawiała najczęściej, u niego zasiadała rad w kwestjach dotyczących majątku. A widząc, że adwokat jest nieśmiały, z kobiecą zręcznością zachęcała go do oświadczenia. Pa-

wel rozumiał te manewry, nabierał ducha, kochał się coraz namiętniej, lecz ile razy, w czasie pogadanki, zrobił znaczącą pauzę i odchrząknął, ażeby oświadczyć się, strach paraliżował mu język...

Nareszcie pani ta, nie chcąc już dźwigać nieznośnego ciężaru wdowieństwa, zwróciła część względów do pewnego majątnego kupca, który miał odwagę za trzech adwokatów i oświadczył się co tydzień — bez skutku.

I stało się, że od tej pory kupiec coraz widoczniej postępował w łaskach, pan Paweł tracił dawne względy, a wdówka drobnym ale pewnym krokiem zbliżała się do — powtórnej zmiany stanu.

Swoją drogą, żal jej było adwokata, więc zdecydowała się na ostatnią próbę. Poszła sama do jego mieszkania z prośbą o wydobyć pewnej sumy pieniędzy, ułokowanej na hipotecę.

— Po co się pani spieszy? — spytał adwokat — lokacja jest pewna, procent dobry, niech więc suma leży — choćby do końca świata.

— Co mi z tego, kiedy ja gotówki potrzebuję! — odparła wdowa.

— Na co? — szepnął pan Paweł.

Pani zarumienila się, ale rzekła bez wahania:

— Wychodzę za mąż!...

Pan Paweł zbladł. Zaczął przewracać papiery leżące na biurku, odchrząknął i... nagle ujął damę za rękę.

— Pani! — rzekł — czy zamiar pani jest nieodwołalny?

— Co do podniesienia sumy — tak.

— A co do oddania rączki swojej... temu?...

— To zależy! — odparła dama, patrząc na adwokata z nieudaną życzliwością.

Pan Paweł zrobił postanowienie. Pocałował damę w zgrabną rączkę, klęknął u jej nóg i rzekł:

— Pani!... Od roku pragnęłam...

W tej chwili ktoś mocno szarpnął za dzwonek — raz, drugi i trzeci...

Wybiegł lokaj z przedpokoju, ruszyli się dependenci w kancelarii.

Ktoś dzwonił, jak na podniesienie.

— A niechże was djabli porwą! — zaklął adwokat, powstając na równe nogi.

Dama także podniosła się z fotelu, blada, z okiem błyszczącym. Pozycja jej stała się śmieszna.

— A zatem — rzekła stanowczym głosem — proszę pana — o wydobyć mojej sumy. Gdyby zaś robiło to panu trudności, w takim razie osobiście sprawę załatwię.

I wyszła, a pan Paweł został na środku pokoju jak żona Lota, która zamieniła się w słup soli.

W przedpokoju piękna wdowa minęła się z Gaweł, który przyszedł do adwokata w fraku i białych rękawiczkach. Za nim posłaniec niósł pod pachą spore zawiniątko.

Pan Paweł przyjął swego protegowanego z lodowatą obojętnością. Ale Gaweł nadto był wdzięczny, ażeby podobnymi drobiazgami mógł się zrażać.

— Panie adwokacie! — rzekł Gaweł. — Przed dziesięć miesięcy przerwałeś pan sen, ażeby zrobić mi łaskę. Dziś zrób mi drugą łaskę i — przyjmij ten mały dowód nigdy niewygasłej wdzięczności.

To mówiąc wziął od posłańca zawiniątko, wydobyl z niego śliczną aksamitną poduszkę i uroczyście doręczył ją Pawłowi, z którego o mało życie nie uciekło.

— Z tej strony — mówił Gaweł — wyhaftowane jest to...

Adwokat przeczytał na poduszce napis:

"Pamiętka przerwanej snu. Dnia... roku..."

— A z tej strony — mówił dalej Gaweł, odwracając poduszkę — jest to...

Pan Paweł przeczytał:

"Cnota bywa niekiedy wynagradzana i w tem życiu..."

— Ach! — westchnął adwokat, gorzko żalując, że jego cnota nie została wynagrodzona dopiero w życiu przyszłym.

Swoją drogą Gawełowi ciężar spadł z serca. Wrócił do domu bardzo kontent i, zdejmując frak, mówił do żony:

— Miło mi, że przynajmniej tym sposobem okazałem zacnemu Pawłowi moją wdzięczność!...

Bolesław Prus.

BAJKAŁ.

USTĘP Z DZIEŁA „Z DALEKIEGO WSCHODU“

(Wrażenia i obrazy z podróży po Syberji)
znajdującego się w tej chwili pod prasą.

Cały Bajkał podobny jest do półksiężyca zwróconego w kierunku zachodowym, zwanego około wpływu Angary. Kultuk leży przy samym południowo-

zachodnim jego krańcu. Nazwa jego została właśnie wzięta od tej części morza znanej geografom również jako „Kultuk“. Prawdopodobnie nie jest to imię własne lecz pospolite, bo wiele zatok nazywa lud miejscowymi „Kultukami“. Wiatr południowo-zachodni także „kultukiem“ mianuje.

Dwa ramiona gór Bajkalskich zwały się tutaj i trzymają „Święte morze“ w skalistych kleszczach. Sąsiadujące z wodą odnogi uwiecznione są ciemnym lasem, świerkowym i modrzewiowym, dalsze, na południe i zachód, błyszczą śnieżnymi szczytami. Największy z nich, Chamardaban, dochodzi do 6,000 stóp wysokości.

Gdyby oko nawet o sto mil sięgało, nie mogłoby ztąd objąć całego obszaru Bajkału. Z powodu kształtu jeziora zasłonięty jest kierunek podłużny. Roztacza się tylko przed nami „Kultuk“, zatoka, której widnokrąg ograniczają mgliste obręby gór na wschodzie.

Kultuk jest dla nas miejscem pamiętnym i sympatycznym. Tu była stacja znakomitego naszego naturalisty Dybowskiego, który wraz ze swym zdolnym pomocnikiem Godlewskim dokonywał, na koszt Towarzystwa geograficznego, badań nad głębokością i mieszkancami Bajkału. Doszedł on do zdumiewającego rezultatu, że to najrozleglejsze w świecie jezioro alpejskie sięga w największym zakłębieniu, do głębokości 1,500 metrów! Ponieważ powierzchnia jego leży na wysokości 1,500 stóp nad poziomem oceanu, więc dno w miejscu najgłębszym jest niższe od powierzchni oceanu o 3,000 stóp!

Zaiste dla Bajkału daleko właściwszą byłaby nazwa Morskiego oka, aniżeli dla naszych jezior tatrzańskich. Tembardziej, że roją się w nim fokii. Ale i Bajkał, podobnie jak jeziora Tatr, mimo swej niesłychanej głębokości, nie ma żadnej podziemnej komunikacji z morzem, a najpopularniejszym tego faktu dowodem jest słodkość jego wody, która nie wiele różni się od destylowanej.

Unym, niemniej ważnym i efektownym, a znanym już powszechnie, wynikiem pracy Dybowskiego, było znalezienie ogromnej ilości nowych gatunków raczków zwanych *gammarus*; kto wie, jakie wrażenie czyni w sferach naukowych znalezienie jednego nowego gatunku, jaki ono honor przynosi odkrywcy, zrozumie co znaczy dla zoologii praca Dybowskiego, który rzucił dziesiątki nowych zwierząt przed oczy systematyków!

Rzecz dziwna! Od drugiej połowy zeszłego wieku Cesarska akademja nauk w Petersburgu wysyłała, co lat kilka lub kilkanaście, naukowe ekspedycje do Wschodniej Syberji, łożąc na to ogromne koszty. Wszyscy niemal delegowani zajmowali się tak interesującym tworem natury, jakim jest Bajkał, a wszystkie ich prace odnosiły się bardzo powierzchownie. Wreszcie przyszedł Dybowski, ze swym pomocnikiem Godlewskim, który się nigdy dotąd badaniami naukowymi nie zajmował, i we dwóch, skąpymi środkami, dokonali badań tak ważnych, tak głębokich, że wszystkie poprzednie zaledwie mogą się z nimi porównać!

Wspomnę jeszcze o dwóch osobliwościach Bajkału.

Jedną z nich są fokii; jest to ten sam gatunek, który żyje w morzu.

Jakim sposobem dostały się one do Bajkału, oddalonego od morza o kilka tysięcy wiorst? Czy w nim samym powstały, czy też jezioro w dawniejszych okresach geologicznych było połączone z wyschłym, tak zwanym „Morzem zachodnim“ chińczyków, lub z oceanem Lodowatym? A może przez Jennissej i Angarę (w których ich niema) dostały się z morza Lodowatego. Jest to zagadka naukowa, której jeszcze nie rozwiązano.

Największą jednak osobliwością jest *golomianka*. Tak nazywają sybiracy nie wielką rybkę, której nikt żywej nie widział! Wyrzuca ją często Bajkał na powierzchnię, lub na brzegi, ale już martwą! Jest bardzo tłusta i tak delikatna, że w krótkim czasie rozkłada się, rozplywa, jak mówią wieśniacy. Dybowski zbadał ją bliżej i dokładnie opisał. Nigdy nie znalazł samca, wszystkie obserwowane przez niego osobniki były samicami, które już wyrzuciły z siebie ikrę. Uczony nasz był tyle szczęśliwy, że znalazł jedną czy kilka golomianek, jeszcze drgających, w ostatnich chwilach okoliczności, że golomianka żyjąca, a prawdopodobnie i mogąca żyć tylko w ogromnych głębiach, pod bardzo wysokim ciśnieniem, nie może się w nich utrzymać, gdy podczas ikrzenia osłabnie, gdy zachoruje. Woda wyrzuca ją na powierzchnię. Jeżeli mnie pamięć nie myli, Dybowski znajdował golomianki wszędzie, który zmniejszając ciężar właściwy ryby i osłabiając jej organizm, łatwo mógł wywołać wyrzucenie na wierzch. Być może, iż przypadkowe dostanie się do wyższych warstw, sam brak warunków istniejących w wielkich głębiach, zdolny był być zabici golomiankę, ale bezwarunkowo zaburzenie organizmu, powstałe wsku-

tek ikrzenia, ma w tem zjawisku pierwszorzędne i decydujące znaczenie.

Zanim się oddalimy do Bajkału, skorzystam ze sposobności, i kilku słowami zaznamoję czytelników z rezultatem prac p. Czerskiego nad geologią Bajkału. Czteroletnie poszukiwania okazały, że „Święte morze“ leży wśród jednej z najstarszych formacji, laurentyjskiej. Co się tyczy powstania tej olbrzymiej kotliny, to rodak nasz zbija hipotezę dotychczasowych badaczy. Dowiedzieli oni na zasadzie czystych trzęsień ziemi w tych stronach, że zagłębienie powstało wskutek przewrotu wulkanicznego. Natomiast rodak nasz stawia daleko zgodniejszą z współczesnym stanem nauki teorię, że kotlina utworzyła się przez zapadnięcie warstw, wskutek parcia bocznego. Teoria ta nie jest jeszcze ostatecznie opracowana, i dotychczas nie zna jej zapewne Europa. Ale spodziewam się, że wkrótce zjedna ona taką sławę następcy Czekanowskiego, jaką sobie pozyskał jego poprzednik.

Widzą więc czytelnicy, że w historii nauk o Bajkałe imiona polskich uczonych niezatartemi głoskami się zapisały.

Bronisław Rejchman.

Wędrownie szeszury.

(Z HEINEGO)

Wszystkie szeszury prawowite

Przysięgły głodne lub syte.

Syte rade w domu siedzą,

Głodno pędzą. Gdzie? — Nie wiedzą.

Pędzą, piszcząc z oburzenia,

Tysiące mil bez wytchnienia,

Wprost przed siebie: nie im wody,

Nie wichry i niepogody.

Drapia się na stromą górę,

Płyną przez morza ponure...

Ten, ów — ginie; pozostali

Nie zważają, pędzą dalej.

Tych złowrogich szeszurów hordy

Mają wielkie, straszne mordy,

Głowy strzyżone przy skórze,

Radykalnie tak jak szeszura.

Szeszury te nie znają Boga;

A radykalna ich droga

Nie pozwala im na chrzciny.

Kobiety własnością gminy.

Ta banda szeszurów zmysłowa

Zawsze jeść i pić gotowa;

I ani myśli piekielna,

Że dusza jest nieśmiertelna.

Horda ta tak jest zacieklą,

Że drwi sobie z kotów, z psów,

Nie zna dóbr i jest gotową

Świat ten podzielić na nowo.

Wędrownie szeszury! dla Bogal

Już coraz krótsza ich droga.

Już słychać ich pisk szalony,

Już idą, idą — miliony!

Gwałtu! jesteście zgubieni!

Już są u bram! Przestraszeni

Burmistrz, senat i król błądzą,

Radzą i nie mają rady.

Mieszczanin chwytą zgorzchny

Za broń, na gwałt biją w dzwony,

Zagrożona wszelka jasność

I palladium państwa — własność.

Dzwon, pacierz, ani niestety

Mądre-senatu dekrety,

Ni stofuntowe armatki

Nie zbawią was lubie dziatki.

Dziś już nie pomoże dzika,

Szumno-pusta retoryka,

Ani żadne syllogizmy —

Szeszury skaczą przez sofizmy.

Ich głodne brzuchy przenika

Zupy i kluski logika.

Dziś argument — okrasa,

Pieczę i tłusta kiełbasa.

Stokfiż, ser, konfitury

Wolą radykalne szeszury

Od całego mówców grona,

Począwszy od Cyserona.

M. Rodoc.

Z dramatu NA JEDNĄ KARTĘ.

AKT I

SCENA V.

OSOBY:

Józwiowicz; — Stella, pani Czeska, obok nich Pretwie, za nimi Drahomir pod ręką z księciem Starogrodzkim wchodzą przez drzwi ogrodowe.

Stella. A nasz doktor! nasz kochany doktor! Jak się pan ma, panie Stanisławie? Stęskniliśmy się już do pana!

Czeska (klaniając się chłodno). Szczególniej księżę...

Józwiowicz (całując rękę Stelli). Dobry wieczór księżniczko! I mnie pilno było już wrócić. Przybywam na dłuższy czas odpocząć trochę. A, i księżę! Jakże tam ze zdrowiem?

Księżę (ścisnąwszy go). Kochany chłopczko! Siabym, słabym! Doskonaleś zrobił, żeś przyjechał. Obaczysz sam zaraz, co się ze mną dzieje.

Józwiowicz. Teraz może księżę zechce poznać mnie z resztą towarzystwa.

Księżę. A prawda. Doktor Józwiowicz, minister moich spraw wewnętrznych. Dobrze powiedziałem — co? bo przecie pilnujesz mego zdrowia. Hrabia Karol Drahomir.

Drahomir. Nazwisko pana już dziś nie obce nikomu, więc właściwie ja tylko powinienem się przedstawić.

Józwiowicz. Panie...

Księżę (przedstawiając). Pan Jerzy Pretwie nasz sąsiad i... (Stella daje znak ojcu) i tego... chciałem powiedzieć: i tego...

Jerzy. Jeśli się nie mylę: i kolega pański ze szkół.

Józwiowicz. Nie chciałem przypominać się pierwszy.

Jerzy. Witam więc serdecznie dawnego kolegę.

Dawnie to i czasy, ale żyliśmy blisko. Prawdziwie, szczerze się cieszę, zwłaszcza po tem, co tu o panu słyszałem.

Drahomir. Jako o dobrym duchu tego domu.

Stella. O tak!

Księżę. Czekajcie, niech no ja swoje o nim powiem.

Jerzy. Ileż to razy pierwszy uciekał Józwiowicz odrabiać zadania za Pretwieca.

Józwiowicz. Szczęśliwa pan ma pamięć...

Jerzy. Szczęśliwa kolego, bo pamiętam także, że wówczas nie mówiliśmy sobie wzajemnie: pan. Więcej jeszcze raz: witam cię serdecznie Stanisławie.

Józwiowicz. Nawzajem.

Jerzy. Ale pamiętam, że po skończeniu szkół poszedłeś na prawnika.

Józwiowicz. Potem zostałem także doktorem medycyny.

Księżę. No, siadajcie. Czy będziecie stali? Jan! sam tu! światła!

Stella. Jak to dobrze, że panowie się znają.

Józwiowicz. Szkolna ławka jak bieda: łączy ludzi. Ale potem pozycja ich rozdziela. Jerzy miał świetny los zapewniony, ja zaś musiałem go szukać.

Księżę. A szukał i on, ale guzów.

Drahomir. W dwóch częściach świata.

Czeska. To prawdziwie po meżku.

Józwiowicz. Ha! szedł za swym instynktem. Jeszcze w szkołach ujeżdżał konie, strzelał, rąbał się.

Jerzy. Lepiej niż uczył?

Józwiowicz (śmiejąc się). Tak!... Zwaliliśmy go hetmanem, bo też i hetman! nam w naszych wojnach studenckich.

Drahomir. Jerzy, poznaję cię...

Czeska. Ale teraz, myślę, że przestanie wojować.

Stella. Kto wie?...

Jerzy. Niezawodnie pani.

Józwiowicz. Co do mnie byłem najgorszym z jego szeregowych. Nie czulem nigdy smaku w takich rozrywkach.

Księżę. Bo też to rozrywki szlacheckie nie doktorskie...

Józwiowicz (weselo). Już zaczynamy się kłócić. Mój księżę, wy się szcziecie, że wasi przodkowie-rycerze zabijali tłumy ludzi, a żeby księżę wiedział ilu ja już moimi lekarstwami zabilem! Zaręczam, że żaden z przodków waszej księżęcej mości nie poszczyci się taką liczbą.

Drahomir. Brawo! doskonale!

Księżę. Co ten niegodziwiec gada — i on jest moim doktorem.

Stella. Papo! doktor kłóci się.

Księżę. Już ja mu dziękuję za takie żarty. Ale świat się teraz przewraca, to pewna.

Józwiowicz. E księżę! pożyczmy jeszcze ze sto lat. (Do Pretwieca). Pójdź, opowiedz mi co się z tobą działo. Państwo już znają pewno twoje przygody, a dla mnie są one nowe. (Odechodzą ku oknu).

Księżę. Nie uwierzycie jakim ja nieszczęśliwy, że się bez tego niegodziwca obejść nie mogę. To syn kowala ze Stanisławowa. Oddawałem go do szkół, bom chciałem zrobić z niego oficjalistę, a potem on sam oddał się do uniwersytetu...

Drahomir. I jest podwójnym doktorem. Rozumny człowiek, dość spojrzeć...

Stella. Ah i jaki.

Czeska. Taki rozumny, że aż się go boję.

Drahomir. Ale księżę musi być rad?

Księżę. Rad, rad!... W głowie mu przewrócił, zrobili z niego jakiegoś demokracę czy sankiulotę. Tylko, że dobry doktor, a ja słaby. Brak mi soków w żołądku. (do Drahomira) Wiedziałeś o tem?

Drahomir. Dawniej już księżę skarżył się...

Czeska. Od dwadzieści lat!

Książę. Moja Czesia!... A to zgryzoty i służba pa-
liczna stargaly mi zdrowie.

Czeska. Co tam! książę zdrowy.

Książę (gniewliwie). Powiadam żem chory. Stel-
ka! jam chory—co?

Stella. Teraz papie będzie natychmiast lepiej.

Książę. Bo też on jeden utrzymuje mnie na nogach.
Stella także byłaby umarła na serce, gdyby nie on.

Drahomir. Jeśli tak, to to człowiek bez ceny.

Stella. O! winniśmy mu wieczną wdzięczność.

Książę (przypatrując się Jerzemu). On i Pretwico-
wi będzie potrzebny. Stelka—co? będzie potrzebny?

Stella (z uśmiechem). Papo! zkądże ja mogę wie-
dzieć?

Drahomir. Doprawdy, zazdroścę nieraz tym że-
laznym ludziom, idącym w świat przebojem. W tej
walce wyrabiają sobie siłę, która w nas słabnie i za-
nika, bo nie jej nigdy nie podsycą. Może i my jeste-
śmy z dość szlachetnego metalu, ale nas przetrwają
rdza, oni hartują się w życiu. Jest to smutna ko-
niecność.

Czeska. A pan Jerzy?

Drahomir. Jerzy także przeszedł wiele. Jest je-
dnak między nimi jakaś różnica, którą się czuje,
choć określić jest trudno. Spójrzcie państwo na
tych dwóch ludzi. Gdy wichry wieją, Jerzy opiera
się im jak stuletnie drzewo, a taki człowiek jak do-
ktor opanowuje je i każe im popychać łódź swoją.
Jest w tem jakaś większa zdolność do życia, więc
i wynik o tyle łatwy do przewidzenia, o ile drzewo,
choć silne, im starsze, im bardziej burzami stargane,
tem musi uschnąć prędzej.

Książę. Nieraz mówiłem, że schniemy jak stare
drzewa. Jakaś tam inna gęstwina wyrasta, ale to
tylko krzaki. Jam też już wysechł i schudł przynaj-
mniej na trzy palce.

Stella. Kto jest dobry panie Karolu, ten ma prawo
do życia, zatem—nie należy wątpić o sobie.

Drahomir. Ja też nie wątpię, choćby dla tego, że
poeta mówi: „Świętym jest na ziemi, kto umiał za-
wrzeć przyjaźń... (klaniając się Stelli) ze świętym”.

Stella (groząc). Jeśli nie zdobył ich przyjaźni
przez pochlebstwa.

Drahomir. Niech mi tylko będzie wolno nie za-
zdrościć doktorowi.

Stella. Przyjaźń nie jest wyłączną, a choć dokto-
ra uważam jak brata...

Książę. (Przerywając). Co Stelka! Co ty pleciesz?
On tak twój brat jak ja radykał. Ja go nie cierpię,
tylko się obejść bez niego nie mogę.

Czeska. Gdzie tam książę kogo nie cierpi!

Drahomir. (Z uśmiechem). I za cóżby?

Książę. Za co? Czy nie mówiłem? Robi z nami co
chce, rozporządza się w całym domu jak chce. Nie
wierzy w nic, tylko w jakichś tam—w kogo to Stel-
ka—co? A ambitne to przytem jak lichy. Już zo-
stał profesorem akademii jakby jaki duchowny, a
przytem stara się podobno o mandat poselski. He?
słyszeliście? On będzie posłem, zatem jasnie wielmo-
żnym? Ale nie byłbym Starogrodzkim, gdybym na
to pozwolił. (Głośniej). Józwiowicz!

Józwiowicz. (Z pod okna). Co książę rozkaże?

Książę. Czy to prawda, że ty się starasz o mandat

Józwiowicz. Do usług księcia.

Książę. Pani Czeska? słyszałaś pani? Nie prze-
wracaj się teraz świat? — He? Józwiowicz!

Józwiowicz. Co książę?

Książę. A może ty jeszcze i ministrem zostaniesz?

Józwiowicz. Może...

Książę. Słyszeliście? I ty może myślisz, że ja to-
bie będę mówił: jego ekscelencja.

Józwiowicz. Takby wypadało. Wyższy stopień po-
trzeba ucześć.

Książę. Biorę was na świadki. Józwiowicz, czy
ty chcesz, żeby mnie zółć załala?

Józwiowicz. Niech się książę uspokoi. Moja ekscel-
lencja zawsze będzie pilnować jego oświeconej zółci.

Książę. A prawda. Irytuje mnie szkodzi. Co—
Józwiowicz—szkodzi?

Józwiowicz. Szkodzi na zółć, ale daje apetyt.

(Obaj z Pretwicem zbliżają się do rozmawiających).

Stella. O czymże panowie mówili?

Józwiowicz. Słuchałem księżniczko opowiadań Je-
rzego. Dziwne rzeczy! Jerzy popełnił tę omyłkę, że
przyszł na świat o dwieście lat za późno. Bayar-
dom źle się teraz dzieje na świecie.

Czeska. Nad wszystkimi jest Opatrzność!

Drahomir. I ja w to wierzę.

Józwiowicz. Gdybym był matematykiem, nie prze-
cząc panu, powiedziałbym tylko, że ponieważ w wie-
lu wypadkach niewiadomo czemu się równa X, nale-
ży sobie samemu radzić.

Książę. Co on powiada?

Stella. O doktorku! Proszę nie mówić tak scepty-
cznie, bo nie z papą, ale ze mną będzie wojna.

Józwiowicz. Mój sceptycyzm tam się kończy, gdzie
zaczynają się słowa pani—więc zdaję się na łaskę.

Stella. Jaki grzeczny—pan poseł.

Służący. Herbata na stole.

Jerzy. Ja księztwa muszę pożegnać.

Stella. Jakto? zawsze musimy pierwsi przypomi-
nać, że już późno, a dziś pan tak wcześnie nas o-
puszcza.

Józwiowicz (n. s.) Dawny kolega na poufalej tu
stopie.

Jerzy. Wybaczy pani! Mnie tu tak dobrze, jak
nigdzie, ale dziś koniecznie muszę być w domu. Zre-
szta zostawiam Drahomira, by mnie zastąpił.

Stella. Gniewać się, byłoby to wbić pana w za-
rozumiałość. Proszę się jednak wytłumaczyć.

Jerzy. Pogorzeley pani są u mnie. Muszę rozpo-
rządzić by mieli co jeść i gdzie się przespać.

Czeska (n. s.). Umie się żrzyć przyjemności dla
obowiązku (głośno). Stelko!

Stella. Słucham matczko!

Czeska. My jutro zajmujemy się składką dla nich
i zawieziemy im trochę odzieży.

Józwiowicz. A więc i ja pojedę z paniami. Będzie
to pierwszy wypadek, że nie nędza doktora, ale doktor
nędzy poszuka.

Czeska. Doskonale.

Książę (stukając łaską). Pretwic!

Jerzy. Co książę rozkaże?

Książę. Mówisz, że ta holota bardzo biedna.

Jerzy. Bardzo biedna.

Książę. Mówisz, że będą marli z głodu—co?

Jerzy. Prawie, książę.

Książę. Dobrze im tak. To Bóg każe za to, że wy-
bierają na posłów (pokazując na Józwiowicza) tak-
kich—ot?

Józwiowicz (z ukłonem). Jeszcze mnie nie wybrali.

Stella. Papo!

Książę. Stelka, co ja chciałem mówić? Aha! Pre-
twic!

Jerzy. Słucham Księcia.

Książę. Powiedziałeś, że będą marli z głodu?

Jerzy. Powiedziałem: prawie.

Książę. Dobrze! Idźcie do kasjera Florkiewicza,
żeby dał tysiąc reńskich dla tej holoty (stukając łaską).
Niech wiedzą, że ja nie pozwalam obok mnie niko-
mu umierać z głodu.

Stella. Drogi, kochany ojcie!

Drahomir. Wiedziałem, że się tak skończy.

Józwiowicz. Istotnie, to po książęcu!

Książę. A tak, panie Józwiowicz. Noblesse oblige!
Rozumiesz, jego ekscelencjo panie Józwiowicz?

Józwiowicz. Rozumiem, jasnie oświecony książę.

Książę (podając rękę pani Czeskiej). A teraz chodź-
my na herbatę. (Jerzy żegna się i odchodzi).

Józwiowicz. Ja także muszę państwa pożegnać. Je-
stem zmęczony, a przytem mam napisać kilka listów.

Książę. Dalibóg, myślałby kto, że już został mini-
strem. A przyjdzie jeszcze zobaczyć mnie, bo bez
ciebie nie usnę.

Józwiowicz. Przyjdę, książę.

Książę (mrucząc). Człowiek zaraz zdrowszy i we-
selszy, jak tylko ten Robespierre przyjechał...

Henryk Sienkiewicz.

Z SZEWCZENKI. *)

DO ZORZY.

Ach ty zorzo moja śliczna

Na wieczornem niebie!

Wiele chciałbym dowiedzieć się

Wśród obcych od ciebie.

Ach! opowiedz, jak za górą

Słonko tam zachodzi,

Jak tam w Dnieprze jaskółeczka

Dziobek macza w wodzie.

Jak ezeremcha rosochata

W kwiat się ustroiła,

A nad wodą wierzbą smutną

Czoło pochylała.

I po wodzie rozleżała

Gniazdko zielone,

By się na czem chętnieś mniały

Dziatki nieochrzczone.

Jak na polu u mogiły

Wilkołak nocuje,

A po lesie puszczyk huczy

I śmieie prorokuje.

Jak sen-trawa **) na dolinie

Po nocy rozkwita...

A o ludziach?.. co mi do nich!

Znam ja ich do syta...

*) Z pisma zbiorowego Chata. Petersburg. 1860.

**) Pusa-tilla patens Mill.

O znam dobrze... Zorzo moja!

Kochanko jedyną!

Ach! ty nie wiesz, co się robi!

Tam, gdzie Ukraina.

Ja wiem i powiem tobie,

Nim się spać położę,

A ty jutro cichuteczko

Bogu szepniesz może.

L. Sowiński.

Na otwarcie trzeciego teatru w Warszawie.

Były to czasy, kiedy wysiłona
Po krwi strumieniach i strumieniach leżała
Ludzką, chcą nowo wywalczyć znamiona,
Pragnęła ujrzeć cierpień swoich kres.
Wiedząc jako Łazarz z grobu wywołany,
Zstrząsnęła z siebie walki przeciwnych chrzest,
I licząc bóle, rozpoznając rany,
Pytała: kędyż błogi spokój jest?

A w tem wołaniu o natchnienie Boże,

A w tej rozterce ubiegłych już lat,

My ubożuchni, najubożsi może,

Poza innymi dążyliśmy w ślad.

I gdy społeczność troszczyła się cała,

By się pogodnie duch rozwijał nasz,

Ktoś wyrzekł hasło, by na świat wyrzuciła

Rozpromieniona sztuki polskiej twarz.

Dawne to czasy... sto lat już ubiegło,

Kiedy się zjawiał w owych próbie dniach

Mąż, który z pierwszą pośpieszywszy cegłą

Wzniósł długotrwały sceny polskiej gmach.

A jako śród chmur, które przeszłość słońca,

Sam dzielny w trudzie i wytrwały był,

Tak gmach ów, jego podźwignięty dłoń,

Do dziś się ostał w pełni swoich sił.

Bywało kiedyś, że w ściany złocone,

W których się bogów święty skrywał ród,

Rzucano środkiem szeroką zasłonę,

Po za nią mnogi gromadził się lud,

A kapłan do ust złotą niosąc czaszę

Samych wierzących przyzywał do prób,

Wołając: „Czcijcie te świętości wasze,

Bo w nich jest życie, po za niemi grób”.

Dzisiaj przed wami jest zasłona nowa,

Lecz miasto złotych świeczników i czas,

Niechaj tam żyje piękna nasza mowa

I swada nasza i obyczaj nasz.

Niech jedną spójnią razem połączone

Będą dusz związkami i wskazówką dróg...

A więc odważnie odchylcie zasłonę,

A dobrym celem dopomoże Bóg!

Wacław Szymanowski.

Kanarek.

(Niby nowella.)

Bohater nasz mieszkał w wygodnej choć wcale nie wspa-
niałej klatce. Dzięki ślicznej Frani miał co dnia świeżą wo-
dę, siemienia poddostatkiem, zawsze kawałek cukru a latem
liście miękkiej salatk. Wywdzięczał się też jak umiał pta-
szyna, pracując gardziółkiem od świtu do zmroku.

A śpiewał cudnie: istny słowik! Frania słuchała i raźniej
szła jej robota; kanarek zaglądał jednostajny szukot maszy-
ny. Nie była sama przynajmniej!

Wprawdzie niekiedy, po skończonej w fabryce pracy, przy-
chodził nieraz zakochany w dziewczynie na zabój Antek. Szli
razem na przechadzkę albo w domu snuli złote nici marzeń.
Cóż kiedy Frania nie kochała Antka naprawdę, nie kochała,
choć mówiono, że był ładnym i pocziwym chłopcem, choć
dziesięć innych za nim przepadało.

Dlatego, sama nie wiedziała.

Nie wiedziała również kład jej się do główki różne nieraz
cisneły myśli, dlaczego ona, co nigdy lepszego nie zaznała,
ze wszystkiego co ją otaczało sztydziła prawie. Nieraz żało-
wała Antka, obiecywała sobie być lepszą. Gdzie tam gdy
przyszła, spotykał go ten sam chłód, gorzej, te same przy-
mówki.

— Rzemieślnik—coś jej szeptało—co za los, co za przy-
szość czeka żonę rzemieślnika!

A potem Antek jakiś był nie taki, jak sobie wymarzyła
Frania; takie miał namulone ręce!

Wezoraj spotkała dawną od serca przyjaciółkę, szwaczkę
jak ona.

Teofilka zaprosiła ją do siebie.

Boże, jakże cudnie ona mieszka, jakie ma meble atlasowe,
dywany, firanki, jakie stroje, a nade wszystko jaki paitocik
aksamitny—długi do ziemi prawie—z sobolem!

A jakie towarzystwo tam bywał! Wieczorem przyszli na
herbatę pan Karol, chłopiec śliczny, jak malowany. Przyszedł
przyjaciel jego, jeszcze piękniejszy, wniejający zdaleka—sło-
wem szuk.

Ah, jacy ci panowie grzeczni, zwłaszcza drugi, ile on
komplementów Frani do uszka nagadał, parę razy nawet ści-
snął ją pod stołem za rączkę.

Co za różnica od niezdarnej Antki!

W tej chwili wydał się on jej wstrętnym prawie. Wszy-
tko to rozpamiętywała sobie Frania zapatrzona w lustro.
Lustro mówiło jej wyraźnie, że i ona ma ładne czarne oczy,

świeży buziak a eńd tręba za wielkie ustęstwo, ale za to sąbki jak perły, czem Teofilka pochwałać się nie mogła.

Pachnący młodzieniec (pewnie hrabia taki), karety, dywany i paltoćki z sobolem mającymi po głowie dziwaczyny, gdy drzwi izdebki otwary się stała w nich Teofilka.

Przyjaciółki rzuciły się w objęcia: Teofilka serdeczną była jak nigdy. Rozmawiały długo w noc. Gdy Franja została sama, wspierała głowę na rękę i zadumała się.

Zadumała się tak, że zbudził ją dopiero świergot kanarka, wita ją pierwsze promyki słońca; ciężka niewyspanej głowa dnia tego, a robota szła dziwnie jakoś oporem.

Antka, który o zwykłej godzinie nadszedł, przyjął gorzej jeszcze niż zazwyczaj.

Odwiedziły Teofilki stawały się coraz częściej, zawsze prawie zabierała Franję do siebie na herbatę.

Zawsze też znajdował się tam przyjaciel Teofilki i pachnący przyjaciel przyjaciel, coraz więcej nadszkakujący, coraz silniej — powiedzmy prawdę — zakochany we Franji.

O jakież były miłe wieczorki spędzane w przyćmionym na polu różowa lampą buduaru, zasłanym miękkim kobiercem, wystrojonym i wylotanym cndnie!

Jakże obydwa wydawała się po powrocie izdebka na Piwnę, jak nędznie wyglądały najlepsze nawet Frani sukienki!

Czemu ona nie miałyby mieć takich pięknych rzeczy, czemu ona, młoda i ładna, ma pokutować w swojej nędznej klatce?

Myśl ta nie dała Frani spokoju, coś dziwnego się z nią działo zaczęło. Izdebka, mebelki jej, wszystkie ją gniewało. Unieważniał ją nawet świergot dawnego ulubieńca, którego, gdy zawodził poczynął, nakrywała czempredzej chustką „aby się nie darta”.

Zdziwione ptaszko przekrzykiując głowę, niby pytając co się jego pani stało.

Antek, przyjmowany ciępkę, coraz rzadziej przychodził; chwilami żałowała go Franja, chwilami ganiła ją i strasząc jakimś przejmował.

Bezwiedna walka wewnętrzna maciła w głowie dziewczynę, która wolno traciła resztę instynktu zachowawczego.

Jednego wieczoru przysięga, że nie powróci.

Nie dotrzymała jednak, po kilku dniach mimowolnie zabłądziła na Piwną ulicę; bezwiednie prawie wszedł na górę.

Drzwi stały otworem; na środku izdebki rozprawiał stróż ze swoją połowicą.

Panna Franciszka od tygodnia nie wraca — rzekli do pytającego blaskiem oczyma Antka — ósmu minął, gospodarz kazał powynosić te graty na strych. Karta się wywiesi jutro.

Antek osłupiałym wzrokiem powiódł dookoła. Gruba warstwa kurzu pokrywała maszynę do szycia, stół i komodę — jedne cenniejsze sprzęty. Zeschły bukietek stał na oknie, w którym wisiała klatka; pusto w niej było: ani siemienia, ani kukur, ani listka salaty.

Kanarek leżał bez życia — skonał niedostatką z głodu.

Biedna ptaszyna! — wyjąknął Antek i stoczył się nieprzytomny ze schodów...

A. Trylski.

Moja rodzina.

Przeszłość — to matka, starszka troskliwa
O syna swego koleje młodzieńcze;
Nieraz do siebie chłopaka przyzywa,
Włos mu odgarnie i patrzy jak w tęczę
W czelo pogodne, gdzie złote nadzieje
Kwitną, i w oczy, zład radość się śmieje.
Jako z gwiazd — z oczu, ze znaków na czole
Zgaduje przyszłe tryumfy i bóle.

Zgaduje wieczorem zurek zapadnie szary
I w całym domu dźwięki znikną gwały;
Ona mu dawne opowiada dzieje,
Ona mu zbroi, matkach przy kądzieli,
O ojcach w zbroi, matkach przy kądzieli,
O tem, jak dawniej kochać się umieli,
I za ojczyznę jak chętnie ginęli!

Przyszłość — to młoda jest oblubienica,
Co blaskiem świeci i wstydem, jak zorza;
I nie śmie podnieść promiennego łica,
Kiedy ją wiodą do ślubnego łoża.
Pełna rozkosznych dźwięków, ze łzawych oczu
W górę niebieskie spojrzenia wysła,
Jak gdyby radę szukała w przeczuciu,
Iść nie chce, wieniec szuka na warkoczu,
Lecz pcha ją naprzód niewidzialna siła.

A terazniejszość — to siostra kochana,
Co wszystkie troski braterskie podziela,
I wie, lekarka, jak boleśna rana,
Jakiemu na nią ugotować ziela.
Pełna radości zawsze i wesela
Rozmawia z tobą o domu, sąsiadach,
O tobie, twoich przymiotach i wadach.
Gdyś smutny, wnet ci czelo rozpogodzi
Wesołym żartem; to znów dogodzi
Przysmaczkami miłym skrzętną gospodynią.
Gdy zechcesz, wszystko dla ciebie uczyni.

Którą z nich kocham więcej? wiedzieć próżno.
Kocham je równą miłością, choć różną,
Matce oddaję zawsze cześć najpiękniejszą,
Z siostrą rozmowę prowadzę najszczęśliwszą,
Z kochanką słów mi nie trzeba: w objęciu
Gina wyrazy w samem ich poczęciu.
Przed każdą zawsze jestem pełen sromu,
Za każdą stanę ochoczo do boju,
I pragnę wszystkie trzy mieć w moim domu
W słonecznej zgodzie i w miłym spokoju.

Józef Trańka.

Rachunek sąsiedzki.

OBRAZEK.

Z panem Kajetanem żyjemy jak dwaj rodzeni bracia, a choć on przeniósł się o trzy mile dalej do majątku żony i nie widzimy się tak często, to za-

wsze przyjaźń sąsiedzka trwa niby ta opoka, na której Piotr św. zbudował kościół. Przyznaję, że do utrzymania tej opoki przyczyniała się najskuteczniej filozofia żony mojej, która mi ciągle kładła w uszy: „Wojtusiu, chceś z sąsiadami żyć w zgodzie, — unikaj interesów.” Ale przeszłego roku spotykamy się raz na jarmarku z panem Kajetanem.

— Masz sąsiad dużo jęczmienia?

— Mam.

— Sprzedaj mi sto korcy na słód.

— Dobrze — odpowiadam, zapomniałszy o przestrogach żony.

I przyszła zgoda prędko: po ile? — po tyle. Na wagę? — na wagę. Z odstawa? — z odstawa.

Idzie pierwszy transport 25 korcy. Jestem przy wadze, a że worki nierówne, więc panie dobrodziejku ważymy po pięć naraz. Piszę rachunek tyle a tyle funtów, potrącając wagę worków, — zostaje na czysto tyle.

Wracają furmanki. Jasiek fernal podaje list, a wliście pan Kajetan pisze: „Szanowny sąsiedzie, kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydzi... Sam byłem przy odbiorze, brakuje na całym transporcie osiemdziesiąt sześć funtów...”

— Ki diabli! — myślę sobie — sam byłem przy wadze, na każdej partii przeważało parę funtów, worki dobre, a za uczciwość i wierność Jaska dalszym szły.

Rusza drugi transport, każę dosypywać po funcie więcej na worku, bo przecież nie idzie mi o te głupie półkosza jęczmienia, ale o sąsiedzka rzetelność i honor obywatelski, żeby człowieka nie mieli za takiego...

Znowu jest odpis, znowu rachunek, i znowu kuje coś siedemdziesiąt kilka funtów.

Hultaje nkradliście! — krzyknę na Jaska, a jego szczesście że nie mam nic w ręku, bo bym go był łnął, taka mię wściekłość opanowała.

Chłopaczysko się sumtuje, przysięga, widzę lzy nawet stają mu w oczach, ale mnie to nie wzrusza; posyłam po wagę do księdza proboszcza — sprawdzamy, rzytyk pasuje do moją!

— A byłes przy wadze? — pyta go żona, która lubi się do wszystkiego wściubić, zwyczajnie jak kobieta.

— Nie byłem, bo oni tam sami ważyli w słodowni.

— A pan Kajetan był?

— Pono był...

— Nic nie pomoże, muszę ja sam pojechać. W tem jest coś... Przecie, tylu się ludziom waży i kupcom i na kolei, a nigdy nie brakowało.

— Słuchaj Wojtusiu — mówi żona — przy trzecim transporcie ja sama dopilnuję wagi.

— Cóż to ja się już nie znam czy co! — ofuknę.

— No, no, no, co ci to szkodzi, pozwól, a przekonasz się, że nie będzie brakowało.

Była, napisała rachunek jak się należy, a kiedy przychodzi odpis od Kajetana, ja się już nie mogę wstrzymać od śmiechu.

— A co Maryniu, co co? — mówię do imości, która mi na list przez ramię zagląda, zwyczajnie jak ciakawa kobieta, — co nie brakuje? czytaj osmdziesiąt dwa funty...

— Ile, ile?

— No osmdziesiąt dwa funty! i gdzież jest twój babski rozum i dozor?

— To dobrze — odpowiada na to z flegmą — dobrze się wyważyło. Nic tylko że nie nie brakuje, ale jest więcej 73 funty.

— Weź że moja duszko okulary i czytaj — rzeknę z ironją. — Brakuje, brakuje osmdziesiąt dwa funty... Ze też wam trzeba wszystko łopata kłaść w głowę.

— Wiem, wiem — odpowiada drwiąco — prawda brakuje 82 funty, ale to dobrze, bo powinno brakować 160, tak kazałam naważyć.

— Jako? poważylaś się...

— Poważyłam, i powiem ci prawdę umyślnie, aby się przekonać.

Otworzyłem gębę od ucha do ucha.

— Masz przerechnąć moją notatkę...

Przeliczyłem; jak raz powinno być o 160 funtów mniej, a on powiada że tylko 82... A niechże cię milion weźmie... Prędejbym się pozwolił powiesić, niż pomyśleć, że Kajtuś... Ot miejże tu wiarę w ludzi i spuść się na kogo...

— Taki świat teraz — powiada Marynia — inaczej by ludzie nie robili majątków, a wiesz przecie że pan Kajetan robi...

Chciałem natychmiast jechać i panie dobrodziejku napluć mu w oczy, ale żona powiada, poczekaj, ja mu sama napiszę przy ostatnim transporcie...

Więc jeszcze poszła jedna partja w ten sam sposób o 160 funtów mniej niż stało w rachunku, a sąsiadowi brakowało tylko siedemdziesiąt sześć funtów teraz.

— Masz przeczytać list jak mu napisałam — rzeczcie imość, podając mi swoją bazgraninę.

„Łaskawy sąsiedzie dobrodziejku!”

Dobrze mówi przysłowie, że kobiety mają długie włosy, a rozum krótki, dlatego racz mi pan darować mimowolną pomyłkę w obrachunku jęczmienia, jakiej się na jego niekorzyść dopuściłam. Naż nie był przy wadze dwóch ostatnich transportów, bo nie miał czasu, więc ja po kobiecemu jak zaczęłam rachować i pisać, tak podalam raz i drugi o 160 funtów więcej niż było rzeczywiście. Widocznie łaskawy sąsiad nie chciał nas bardzo martwić donosząc, że brakuje tylko raz 82, drugi raz siedemdziesiąt sześć. Bóg zapłać i za taką delikatność ze strony sąsiada. Ostatni transport już jest w porządku z dosypką 320 funtów, spodziewam się, że teraz rachunek się wyrówna i będziemy jak dawniej dobrimi sąsiadami...

Na to pan Kajetan odpisał bardzo grzecznie, że nie może przyjąć tych 320 funtów, bo pokazało się, że to gorzelany jego w ten sposób manipulował na swoją korzyść; teraz on sam wagę sprawdził, i czuje się w obowiązku przeprosić stokrotnie za taką pomyłkę.

— Bardzo być może — mówię na to do żony — że gorzelany.

— I ja temu chcę wierzyć! — dodała kiwając filuternie głową — ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Albert Wilczyński.

Mister Dzenikaj.

Szkic z życia polsko-amerykańskiego.

Rzecz działa się w pierwszej połowie września, w górzystej części Pensylwanji, w chwili, gdy po kilku spiekłych tygodniach letnich, wysuszone naksztalt próchna lasy od nieostrożnie rzuconej zapalki nieugaszonym pożarem zajmować się zwykły...

Posuchą z modrzewi, cyprysów i jodeł wydestylowany aromat napelniał powietrze. Cały wawóz, świat zagórski z celem mej podróży łączący, przejęty był cudną wonią. Drożyna, po której jechałem w jednokonnej buggy amerykańskiej, szła nad rzeczką jak kryształ czystą. Wrzos purpurowy, paprocie pierzate, jeżyny i kwiecie wszelkiego rodzaju, rojne ptactwem o barwach wesolych i kształtach europejszym obcych, tworzyły nad wodą gąszcz nieprzeniknioną oku.

Dzień był pogodny. Puszczą śpiłkowa, uszykowana na stokach wawozów, pławila się w jego świetle. Na grubych pninach migotały plamy jasności złotej, przez rzeszotowane sklepienie konarów przesiewanej. Różnobarwne mechy, kory i listki, dywan lasu tworzące, mieniły się naksztalt laski rybnej w tem świetle ziarnistym i ruchliwym. Skłon niebieski był cały posiekany na szmatki i na oczka, siecią gałązek po nad głową porozdzielanych. Każde drzewo filarem się wydawało, na to przeznaczonym, ażeby ten skłon podarty podpierać — inaczej byłby gotów się rozsypać i na ziemię upaść błękitnym gradem.

Wawóz ten to raj prawdziwy; było w nim tak cicho i słodko, że serce zapomniało na chwilę, iż życie jest pasmem burz gwałnych i gorzkich. Żaden wierzyk w liściach nie szemrał. Lasy spały, oddech w sobie zapierając...

Krótki spokój, krótkie zapomnienie! Oto wjechałem na dolinę, pełną wrzasku, huku i ludzi ruchliwych i zabudowań dziwnych. Jestem u celu mej przejażdżki z Filadelfji w roku wystawy podjętej.

Dolina tworzyła amfiteatr, w części skalami otoczony, wyszlifowanymi tarciami lawin wiosennych, w części górami, których podnóża niemiłosierny topór górnika z drzew ogołocił; w dole pieńki sterczały i zapust się gail, ale szczyty gór szumiały starymi drzewami, do pior na helmach rycerskich podobnymi.

Kamienne żebra gór drżały ehami kolosalnych, tętniących maszyn, zgromadzonych na kregłowatym pagórku, środek amfiteatru zajmującym. Nie był to wysoki pagórek. Jego tyse boki okryte były pięknymi, kopcami haldy, ażurowymi wieżami. W każdym szkielecie wieżycy kołysał się długi pret żelazny, ruchem żyda przy modlitwie. Te prety do świrdów i pomp w wnętrzościach góry zanurzonych należały, płyn drogi z nich tocząc — ciecz świetlaną — ropę naftową.

Gdzieniedzie stały sobie między wieżami czerwone potwory, do olbrzymich gazometrów podobne. Były to kadzie blaszane — zbiorniki nafty. Każda taka kadź mogła w sobie 25—30,000 beczek oleju skalnego zawierać. U nich się rurki schodziły od pomp, naftę z góry wysysających. Od nich szły także do dalekiego dworca kolejowego grube rury, co ropę do wagonów i do rafinerji w dolinie stojących odsyłały. Niektóre z tych rur miały kilka kilometrów długości, a chłop dorosły mógłby się był w ich wylotach zmieścić!

Rafinerie tworzyły w dolinie rodzaj miasteczka. Tuż przy nich, ulicą oddzielone, było inne miasteczko, złożone (mówiąc narzeczem polsko-amerykańskim) z salonów (szynków), szopów (warsztatów), storów (kramów), boardinghausów (koszar dla górników), tenementów (domów po kilka rodzin naraz zawierających) i t. d. Wszystko to jedną długą, ścisną ulicą drewnianych domków tworzyło, wesołą barwą powłoczonych, napisami i szyldami od dołu po dachy okrytych i palnych. Całe miasto tworzyło jedną ulicę.

Tak wyglądał Rexburg, punkt słynny z swych studzien naffowych. Każda pięć pagórka przy nim wdała z siebie fortunę. Z rur wnetkniętych były fontanny artystycznie cennej, brunatnej cieczy. Któż policzy, ile tysięcy beczek takiego skarbu codziennie z pagórka przy Rexburgu tryskało.

Zabawiłem parę dni w tem miejscu, zadawając ciekawość, którą długo żywiłem, amerykańską eksploatację oleju skalnego przytem studniac. Trudno było być lepsze od Rexburga miejsce do jej zaspokojenia wybrać, bo przyrodzone bogactwo okolicy było zadziwiające, a sposób jego wyzyskiwania sięgał doskonałości. Nauczyłem się też przeróżnych rzeczy podczas tej wizyty, na oglądaniu szybów i maszyn i rafinerji spędzonej, ale opis tego wszystkiego do niniejszej rzeczy nie należy.

Powiem tedy tylko tyle o Rexburgu, iż był sobie miejscem brudnym, osmolonym i tłuszcem niewonnym przesiąkniętym, z żółtym kanałem splawnym z jednej strony, z szarym pagórkiem z drugiej, morzem oleju skalnego popod sobą, niebem wieczne zadymionem po nad sobą. Jego ludzie byli także brudni, smolni, ropa kapiący. Z jego koni i mułów nafta się, jak z gąbek, dawała wyciskać. Nawet jego psy i koty zostawiały brunatne, tłuste plamy na tem wszystkim, o co się starły. Jego atmosfera była brzemienią ostrą wonią nafty. Potrawy podawane w hotelu zdawały się mieć zapach podobny i gorycz nieznosną. Życie w tem mieście nie było przyjemne, a częste i z śmiertelnością zwykle połączone eksplozje gazu i retort nie dodawały mu powabów w moich oczach.

Mieszkańcy wszakże byli innego zdania. Oswojeni z ponurą okolicą, atmosferą i ludobójczymi wypadkami, a wzbogacając się piórnem, żyli sobie w tej dolinie szczęśliwi, bawili się, kochali i żenili i mnożyli, przechwalać się z jej bogactw z nieklamana dumą. Dnie ich miały prędko w pracy twardej i w korzystnych interesach, a wieczorem wysypywali się na jedną ulicę miesteiny, gazem naturalnie z ziemi tryskającym oświetloną. W godzinach wieczornych, jasnych od ażurowej luno niezliczonych lokciowych języków ognistych, Rexburg przedstawiał obraz, którego żadne pióro nie opisze. Był to wycinek z piekła, w allegańskie góry przeniesiony. Czarni górnicy przypominali w godzinach swej rozpusty potępieniów.

Bez żalu Rexburg opuszczałem!... Właśnie począłem się pakować do wyjazdu omnibusem, co po południu do dworca kursował, kiedy zaszedł wypadek, który mi najgroźniejszą stronę życia w kopalniach naftowych okazał. Usłyszałem huk, od stu gromów razem bijących głośniejszy. Dom zadrżał w zrebach i posadach. Szyby brzękły i na tysiąc kawałków stłuczonych na podłogę się posypały. Dziwny czad powietrze napchnął. Na ulicy krzyk się rozległ.

— A to co? — zawolałem, do okna się rzucając.

Wychyliwszy głowę, ujrzałem ludzi biegających tedy i ówedy, jak gdyby byli głowy potracili. Spłoszone konie ponosiły wóz, tratując dzieci i matki trwożąc. Z góry biegli posłańcy, których ruchy wielkie nieszczęście zapowiadały.

— Gore! gore! — chór wołał.

— Eksplozja w szybie Kleina! — krzyczał posłaniec.

— Gore! gore! — chór wtórował.

— Gaz w studni się zapalił, sześciu ludzi wysadził w powietrze!

— Gore, gore!

Zrozumiałem katastrofę. Nieostrożny jakiś robotnik zbliżył nagie światło do „ognistej”, czyli gaz z naftą wydającej pompy. Zład grzmot, eksplozja, pożar!

I wieża się zapaliła, a od niej kład Dżenikajal!

— O la Boga, w tej kadzi musi być 7,000 beczek ropy, jeśli się rozleje, to cała kopalnia w perzynę pójdzie.

Bicie dzwonów zagłuszyło wrzask ludzki. Z szopy wieża ozdobiła, której zegar właśnie piątą pokazywał, wytoczyły się dwie pyszne sikawki, tak wyglądające, jak gdyby ze srebra i złota szlachetnego były wykute, parą ziejące, siejące skrami. Znikły w mgłach wśród wień na górze. Poleciałem za nimi, a ze mną całe miasto biegło...

Pomocnicy i górnicy, właściciele rafinerji i goście, rzucili się do gaszenia pożogi, po skłonie góry się szerzącej. Z innych, telegrafem uwiadomionych osad, przybywały sikawki, straż ogniove, oddziały

ochotników. Ludność doliny wystąpiła cała do boju przeciw żywiołowi jej stolicy grożącemu.

Marna praca! Silny wiatr pędził smoki płomienne od wieży do wieży. Eksplozja szła po eksplozji, jak ogień rotowy. Pożar huczał wśród budynków, z lekich suchych tarcie skleconych. Wielkie, gorące kadzie, skalnym olejem napelnione, podobne były do piramid ogniowych, popod obłoki sięgających i kipiały, jak wulkany lawy pełne, wylewając z siebie strumienie, czołgające się po ziemi, naksztalt błyskawic. Te błyskawice płynęły na dół, trzeszcząc i podpalając każdą rzecz, jaką w biegu liźnęły. Szopy się kurczyły, zwijały i buchały ogniem od ich technicznych piekielnych, naksztalt listków suchych nad lampą trzymanych i zapadali się z hukiem przerażającym, ciskając wysokie głownie, a te latawce ogniste pędziły wieher na góry, niecałe pożary w zapustach i w puszczech. Cały kraj się palił. Staliśmy w amfiteatrze fajerwerków, jakich człowiek nie widział ani przedtem, ni potem.

Pożar udzielał się kadziom coraz większym i pełniejszym. Góra wyglądała, jak stos olbrzymi, całopalny. Wieher szalał. Niebo zalało morze dymu i iskier. Mimo zapadającej nocy, blask był oślepiający. Wśród huku i szumu żywiołów i jęku ludzi i przerażonych głosów wszystkich zwierząt, pagórek nad Rexburgiem płonał ogniem nie do zgaszenia. Gorąco stawało się nieznosnym. Najwytrwalsi musieli przed bóstem żywiołu ustąpić z pola. Zebrani u stóp góry, staliśmy z opuszczonymi rękoma, spoglądając na scenę tak groźną i wspaniałą, że li tylko z wybuchem Wezuwiusza wolnoby ją porównać. Była to noc okropna, trudna do zapomnienia.

Kadź po kadzi pękała i wypuszczała strumień lawy. Strumienie wily się naokoło kopców haldowych i głazów stoki okrywających, powoli, ale bez ustanku. Niżej spływały się i w rzeczki łączyły; z rzeczułek powstała jedna, szeroka, żółta i śmiał wstęga, ku dolinie coraz chężej zmierzająca. Skutkiem formacji gruntu wstęga ta podzieliła się na dwie gałęzie. Jedna z tych gałęzi rzuciła się prosto z urwiska w kanał, tworząc kataraktę ognistą, z gwizdem i sykiem o wodę uderzającą. Kleby pary odbłaskiem pożaru promiennej buchały z kanału coraz wyżej i wyżej, podczas gdy olej lekki i niezgaszony majestatycznie z wodą płynął, galar za galar podpalając. Ładugi galarów, z próżnych i pełnych beczek naftowych złożone, podsycały pożar na wodzie. Zdało się, że się kanał palił wśród huku potwornego kadzi i galarów eksplozujących.

Długie ramie gorącej rzeki toczyło się u stóp pagórka, coraz dalej w dolinę się wkradając, aż się o rury i o rowy oparło, między górą a domami sznurami pociągnięte. Każdy naftociąg z rury żelaznej spoczywał w rowie niegłębokim, a ziemia z tych rowów dobyta, tworzyła rodzaj dygi przeciw potopowi ognia. Półki olej skalny po nad tą groblą nie wzbierał, pory też i miasto było bezpieczne, ale niech się jeno ropa po za tę tamę przeleje, a wszystkoby poszło z dymem, bo Rexburg stał teraz na delcie, ze wsząd płomieniem oblanej, — tu kanał zapalony płynął ztamtąd na jego zniszczenie góra rozpalona sunęła, jak niegdyś szedł las na warownię Makbeta...

Rury pękały, powódź w staw jasności się zmieniła, który rósł i rósł i tu i ówdzie z okopów się wylewał. Węże szatańskie bzykały w trawie trzeszczącej i znikającej, wily się białemi, żółtymi, purpurowymi, fioletowymi przegubami po równinie.

Ogień szedł na miasto...

— Rów wykopać! głęboki rów wykopać! — zakomenderował głos potężny, często owej nocy słyszany, cudzoziemskim akcentem mówiący.

Nie było braku narzędzi do kopania, ni rak wprawnych, ni dobrych chęci, ale był brak zgody, bo gdy tysiąc par ramion obnażonych do pracy się rzuciło, wówczas jedni w jedną stronę, inni w drugą je ciągnęli. Znaczniejsza część ludzi poddała się chwilowo komendzie człowieka z głosem Stentora. Jego nadludzka odwaga i wpływ na robotników jeszcze na górze zauważyłem. Musiał do miejscowych mikromegasów należeć. Nikt go wodzem nie wybrał, ale dużo go słuchało.

On linję okopów trasował, ich wysokość oznaczał, robotników dzielił, pouczał, zagrzewał. Kazał konie i muły do prawdziwych, jako też do improwizowanych pługów zaprzadzić i szerokie pasma ziemi spulchniać. Te ziemie taczkami przed rów zwozili, co okopy podnosiło.

Tymczasem ogień sunął powoli, bez przerwy, regularnie. Można było z zegarkiem w ręku czas obliczyć, w którym drewniane ściany domów liźnię. Za dwie godziny oprze się o rów — o miasto. Czy rów będzie skończony i dość głęboki, żeby wszystką tę falę do kanału uprowadzić?

Odpowiedź na te pytania wypadła niepomyślnie; było rzecz tak jasna, jak widny pożar na górze, że chętnie nasze ramiona z okopaniem całego miasta przed nadejściem ognia nie zdają.

Zaczęła się kłótnia sroga, którą część ratować, a

która na pastwę żywiołowi oddać? czy rafinerje, czy domy? Kapitalisci tylko się o pierwsze turbowali mieszczanie tylko o drugie. Tamci obiecywali złoto górnikom tej najużyteczniejszej części robotników, których los ludzi miasta obchodzić nie mógł, bo własności w niem nie posiadając, byli tylko komornikami wędrownymi...

— Ej, co wam do tych klatek — mówili do nich... Albo one warte zachodu? Każdy, co nasze fabryki pomoże ratować, dostanie 20 dolarów za godzinę pracy.

Skuszeni górnicy jeli się z kapitalistami umawiać. Wnet dwie wrogie gromady naprzeciw siebie stanęły. Jedna do sasa, druga do lasa ciągnęła. Już się swarzyły. Za chwilę bójka gotowa.

Tymczasem morze ropy wciąż się wzdymało i ku nam posuwało, a pyszny i groźny marsz tego morza był jego własnymi płomieniami oświetlony i gór bliższych i dalszych pożoga. Było nam bardzo widno i straszno. Traciliśmy głowy od lęku.

— Hej, kto żyje, za mną! — zawołał człowiek raz już przedstawiony. Swary nas nie uratują. Rafinerje są asekurowane, a choćby nie były, to do takich należą, którzy stratę znieść potrafią. W miesiąc wytożymy z tej góry, skoro zgaśnie, dość oleju za ich szopy i maszyny. Ratujmyż biednych nieubezpieczonych!

Wyrzekłszy to, namówił jednych a steroryzował drugich górników do pomagania mieszczanom w wykopaniu rowu między pełnemi nafty rafinerjami a miastem mieszkalnem.

— Brawo Dżen kaj! — wolali mieszczanie.

Z drugiej strony ozwał się protest wsieckich spekulantów, którzy to zemsta owemu Dżenikajowi grozili, to skarga do wielkiej kompanji, która w tem miejscu jako jej najwyższy oficjalista przedstawiał. On tylko ramionami wzruszał, aż urażony jakaś uwaga do natrętów się obrócił i rzekł: „Zgoda, gnać po nad inne sterzacy pokazując”.

— Moi panowie, więcej przecieź dobrze, że nie tylko administrator kompanji budynek ten posiadający jestem, ale także jej akcjonariuszem. Wszystko co mam... wszystkie owoce z kilku lat ciężkiej pracy oszczędzone, tkwią w belkach i w tarcicach i kadziach i maszynach pod tym dachem zebranych, a nie są one w dziesiątej części swej wartości ubezpieczone... Ale niech mnie to jezioro ogniste zaraz zaleje, jeśli dla ratowania mojej własności, całe miasto kilkuset rodzin poświęcić pozwolę.

Zaprawdę, kto tak przemawiał, ten był i bohaterem i przyjacielem ludzkości sprawiedliwym, zawstydzeni spekulanci umilkli.

— Brawo! brawo Dżenikaj! — wolali znów mieszczanie, a tama miasto od fabryk dzieląca jak na drodze rosła, otaczając ich domy półkolem, urągając powodzi ognia, nrowadzając ją do kanału.

Miasteczko było uratowane!

Staw w dolinie, żadnem już źródłem nie podsycały, wypalał się powoli, wysychał, opadał. Przestrzeń między dygą i pagórkiem, niedawno biała naksztalt rozgrzanej płyty żelaznej, była już ciemną, a war ognisty oblewał rafinerje i cały krajobraz ich pożoga oświecił. Igły i słupy płomienia i kleby dymu i skier roje i naksztalt rakiet kongrewskich popod obłoki ciskane głownie leciały z wiatrem w przeciwnym od nas kierunku. Był to ostatni fajerwerk nocy grozy pełnej. Patrzyliśmy się nań z poza dygi zbawczej okiem załogi w fortecy, co sztyderstwem wrogie kolumny od nieszczęśliwego szturm uciekające żegna. Ostatnia, największa z rafinerji — jego rafinerja — wyleciała w powietrze, naksztalt prochowni, a potem zrobiło się ciemno i cicho...

Pożar zgasł z braku palnego materiału. Kanał już tylko żółta woda płynął. Ogień leśne białły w świetle jutrni. Ranek spojrział z pochmurnego nieba na czarny i siwy od popiołu i ceglasty od wypalonej gliny pagórek naftowy i nie znalazł na nim ani śladu dzieł ludzkich, bo stopione kruszce polknęły ziemię. Dolina wyglądała naksztalt stepu ogniem strawionego, a gdzie bywały fabryki, tam szereg kominów do egipskich obelisków podobnych sterczał. Ziemia piekła stopy nasze, gdyśmy wyszli za okopy, aby zniszczenie ocenić.

Błądząc samotnie po zgłiszczach, trafiłem na innego samotnego badacza ruin, z twarzą czarną do niepoznania, z odzieżą podartą, spaloną, mokrą. Z podstawy i przyrodziwy poznalem, raczej niż z rysów, wodza novej walki. Stał oparty o podmurówanie swej rafinerji, liżąc okiem oszczędzone kamienie i żelazo. Stał blisko komina wyniosłego, który za chwilę mógł się obalić i przygnieść sobą bohatera. Skoczyłem ku niemu, żeby go z tak niebezpiecznego miejsca odciągnąć, ale kroków moich nie słyszał, to nalem bowiem w miękki popiół.

— Ot, poszedł cały dobytek! — mruknął do siebie, a zaraz potem się obrócił i zrobił kroków kilka...

— Przebóg! — zawolałem. — Rodak! Czy pan...

— A, rodak, do usług. — A z kim mam przytyć?

Jego ton był przeszywająco chłodny...
Nim powód chłodu tego przeniknąć mogłem, nadbiegła gromada gestykulujących i krzykliwych urzędników, naściarzy, reporterów i t. p. indywiduów, które go w środek wzięła i do dworca uprowadziła. Pojechali albo do Filadelfii, albo do New-Yorku, żeby zdać akcjonariuszom sprawę z katastrofy...

Ten sam pociąg i mnie wywiózł z czarnej doliny. Na stacjach sprzedawali chłopcy gazety dokładnymi opisami pożaru przepelnione. Straty wynikłe panowie dziennikarze na dwa miliony dolarów podawali. Mnie nie te straty jednak dużo do myślenia dawały, ale trapiła zagadka, jak się mógł u licha ten człowiek pisać i nazywać, którego pensylwańscy górniczy Minister Dżenikaj tytułowali, czytając litery i sylaby polskie, według ekscentrycznych, anglosaskich reguł wymowy. A redaktor-bogater zbył mnie krótko—czyż w takiej chwili mogłem się mu po raz drugi narzucać?

Lata, podróże i zajęcia, odwiedziny ojczyzny i powrót do nowego świata, sto ważnych, wzruszających wypadków i spotkanie tysiąca twarzy nowych zatarły powoli w umyśle moim obraz pożaru i pamięć polskiego naściarza...

Cała ta rzecz coraz rzadziej mi się przypominała... już tylko w snach, kiedy cały widok w godzinach pełnych lęku przed oczyma staje, jeszcze raz wzruszenia przeróżne czuję i znowu podziwiam mężstwo, krew zimną, takt i śmiałość bohatera swego rodaka, zbawcy miasta aureolą uwiecznionego...

Sygnur Wiśniowski.

AFORYZM NOWOROCZNY.

Wartość naszych wielkich talentów obniża zwyczajnie ich własna zarozumiałość, mierność małych dźwiga na szczytach natęczywa admiraacja przyjaciół.

Gdyby nasi wielcy wyobrażenie o rozmiarach swego geniuszu czerpali nie z podszeptów osobistej pychy, ale z przedmiotowego sądu społeczeństwa i gdyby nasi mali nie czuli się wypychanymi w górę balonem serdecznej reklamy;

gdyby pierwsi przestali sielić widzieć w świetle apoteozy, zanim ją sąd ogółu nie zapali nad ich

głowami, drudzy zaś mogli poczuć, że nie krzyżowanie się interesów i sympatji daje podstawę sądu w bratnim cechu, —

natenczas budżet społeczeństwa naszego liczyłby mniej kapitalnych fikcyj, a więcej rzeczywistego kapitału w inteligencji i charakterach,

natenczas ci, co mówią do kraju, mieliby więcej prawa do jego czei i wiary.

Bronisław Zawadzki.

SZARADA.

Jak pierwszy piąty w Rzymie czuwał na urzędzie,
Tak ja moje szarady dla was mam na względzie.
Pisałem je rok cały—aby każdy cały,
Gdy drugie, trzecie, czwarte szły do was koleją.
Mógł się bawić szaradką. Z tą samą nadzieją
I w tym roku w Kurjerze mam swój kącik mały.
Aby znów każdy cały w zdrowiu i humorze
Zabawiał się szaradą, którą w wiersz ułożę.

J. A. Zygmunt.

(Znaczenie zeszłej szarady: Ikra).

— Z nowym rokiem 1881 wychodzić zacznie w Warszawie najtańsze pismo beletrystyczne ilustrowane p. t. **ROMANS I POWIEŚĆ**, w objętości dużego arkusza druku.

Cena *Romansu i powieści* w Warszawie: rocz. rs. 3; półrocz. rs. 1 k. 50; kwartalnie k. 75; za odosłanie do domu dopłaca się 5 kop. miesięcznie. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rs. 4; półrocznie rs. 2; kwartalnie rs. 1. Kto opłaci *Romans i powieść* za cały rok otrzyma bezpłatnie „Oleodruk z portretem J. I. Kraszewskiego.” Wykonanie takowego jest pod każdym względem wytworne i zaleca się wielkiem podobieństwem. Wielkość Oleoduku cali 8x6. Osoby zamieszkałe na prowincji na kosztu przesyłki oleoduku z portretem J. I. Kraszewskiego raczą nadesłać kop. 25.

Adres: **Józef Unger**, Warszawa, Nowolipki nr 3.

— Prawdziwie dobrą świeżą herbatę: Carskiej Bukiet po rs. 2 i Fuczezu po rs. 1 k. 50 za funt, poleca specjalny Skład herbaty M. Muszkata, przy ulicy Senatorskiej nr 16.

— N. 16 —

HERMAN I GROSSMAN

10. Miodowa wprost Sądów 10.

Sprzedaj i wynajem Instrumentów. Dla ułatwienia Skład urzędów w bieżącym sezonie sprzedaj Instrumentów NA RATY począwszy

OD RS. 25

miesięcznie, bez zadnej zaliczki.

N. 32

WIOSNA

CZASOPISMO TYGODNIOWE DLA PANIEN,

wychodzić będzie w Warszawie od 5-go Stycznia 1881 roku, pod kierunkiem literackim Jadwigi Zeitheim (Jaskółki).—Prenumerata w Warszawie wynosi rs. 4, w Cesarstwie i na prowincji rs. 5, zagranicą rs. 6 rocznie.—Prenumerować można w Redakcji: Niecała Nr 8, oraz we wszystkich księgarniach i kantorach krajowych i zagranicznych. — N. 28. —

Zmiana pomieszkania.

Dr. Borysiekiwicz,

docent okulistyki przy C. K. uniwersytecie wiedeńskim, ordynuje w Wiedniu: Alserstrasse Nr 7, od godziny 2—3 po południu.

W razie potrzeby mogą mieć chętni opiekę domową. N. 31

Fabryka mydeł toaletowych i perfumerja

Władysława Bersona

w Warszawie, poleca wyborowe i tanie mydło do prania po kop. 7½ za funt; perfumery z własnej fabryki, oraz przybory toaletowe francuskie, tanie i gustowne, w wielkim wyborze. Skład główny: Bielańska Nr 2. N. 9

Koronki ruskie,

przysłane w komis, nadeszły w znacznej ilości do ubrań mało-rosyjskich, różno-kolorowe, do rączników, do fartuszków obszycia, do chusteczek batystowych, **Chustki** czarne jedwabne i nicianne, oraz wszelkiej szerokości do sukien, na potrzeby kościelne i do bielizny. — Przytem **herbata** firmy Szlakowa z Petersburga i groszek zielony. — **Ulica Mazowiecka Nr 11, mieszkania Nr 2.**

Suknie Balowe,

od najtańszych do bardzo kosztownych, tak z własnego jak i z powierzzonego materiału, wykonywa szybko i podług wymagań najświeższej mody

Magazyn Sukien i Strojów Damskich

F. KITZMAN,

Nowy-Swiat Nr 41. N. 10

SKŁAD PŁÓTNA, BIELIZNY I POŚCIELI

Płótna i Bielizna stołowa zagraniczne i krajowe; Obrusy, Serwety, Ręczniki. Kołdry watowane od rs. 7. Kołdry wełniane od rs. 4. Materace, Sienniki, Poduszki, Puch i Pierze.

— N. 17. —

Nowy-Swiat Nr 67.

Na żądanie wysyła na prowincję próby wszelkich gatunków płócien; obstalunki listowne wykonczą się jak najakuratniej.

W. MÜLLER i S-ka,

OGŁOSZENIA

do wszystkich gazet krajowych, rosyjskich i zagranicznych, na najkorzystniejszych dla inwentur

WARUNKACH,

przyjmuje zatwierdzona przez Władzę

Warszawska Agentura Ogłoszeń

Rajchman i Frendler,

Biurowe główne: ulica Senatorska Nr 22, oraz

Filje w Warsz., ul. Nowy-Swiat Nr 67;

„ w Łodzi, ul. Piotrkowska Nr 515;

„ w Moskwie, Mała Łubianka, dom Obidinoj.

Redakcja ogłoszeń i reklam bezpłatnie. Każdy zgłaszający się osobiście lub listownie do Biura Głównego, otrzyma bezpłatnie na żądanie wydany przez firmę „Pierwszy Katalog pism polskich i rosyjskich”.

Numeracja okazowa, anszlagi i dowody udzielają się gratis. — N. 11 —

Skład Cygar hawańskich

F. Lewentala i S-ki,

Nr 7. Plac Teatralny Nr 7,

w Warszawie, posiada największy wybór wszelkich wyrobów tabacznich. N. 27

CUKIERNIA Józefa Borowskiego,

róg Senatorskiej i Podwala,

ma honor polecić w obecnym karnawale jak corocznie **Pączki i Faworki** zawsze świeże, odznaczające się smakiem i lekkością, jak również **Piacki** waniliowe i orzechowe, a wyjątkowo **Placzkę z serem.**

N. 29

Józef Borowski.

Fabryka Wyrobów

Pończosznich i Skład Bielizny

Gustawa Hachle,

Nr 11, przy ul. Świętokrzyskiej Nr 11, w tym samym lokalu gdzie s. p. żona moja **Emilja Hachle** z domu **Hachle** przez wiele lat prowadziła także fabrykę pod firmą **A. Riedel**, jak to już o tem doniosłem w poprzednich ogłoszeniach.



Poleca kaftaniki i kalessy wełniane i bawełniane, damskie, męskie i dziecięce, pończochy i skarpetki tak własnego, jak i zagranicznego wyrobu, oraz inne artykuły na sezon bieżący w wielkim wyborze. — Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na adres:

GUSTAW HACHLE,

Świętokrzyska Nr 11 N.

„PRACA.”

SZWALNIA BIELIZNY

pod kierunkiem

PAULINY REICH,

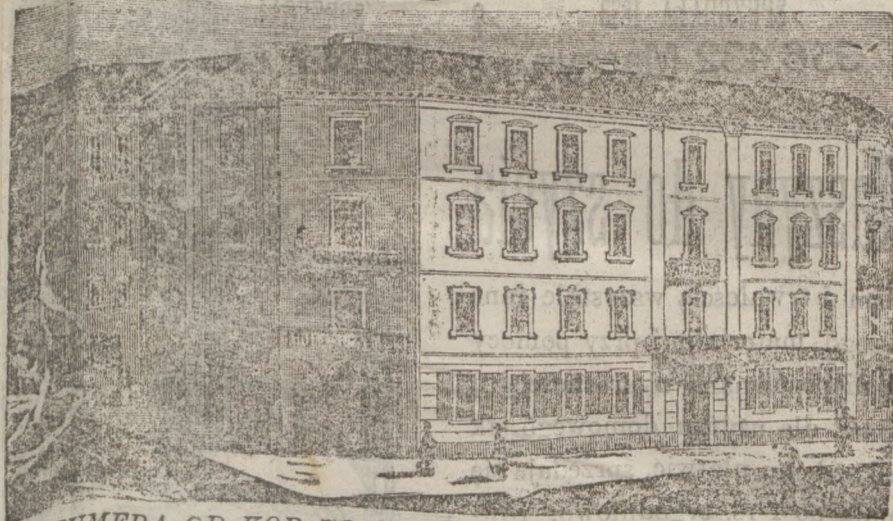
ulica Świętokrzyska Nr 19, obok Poczty,
przyjmuje i najakuratniej wykonywa wszelkie obstalunki:
Bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej, zarazem i **Pościeli**,
z płócien własnych, jak również i z płócien przez Szanownych
Klientów dostarczonych. — N. 20 —

LUDWIK HUMMEL

Właścicielka Magazynu sukien damskich,
ulica Senatorska Nr 4,
przyjmuje wszelkie roboty w zakres działalności magazynu
wchodzące, tak z materiałów swoich, jak i z materiałów magazy-
nowi powierzonych.
wszelkie obstalunki wykonywane są z jak
największą akuracją.
Ceny umiarkowane. — N. 21 —

HOTEL RZYMSKI W WARSZAWIE

A. BOCQUET



NUMERA OD KOP. 70 DO RS. 5 ŁĄCZNIE Z POŚCIELĄ,
BIELIZNĄ, USŁUGĄ I OPAŁEM.

Restauracja z tarasem pod szkłem;—eleganckie gabinety z fortepianami.—
Kąpiele i Pysznice.—Omnibusy do każdego pociągu.—Najem powozów. —N. 14—

FABRYKA
KAPELUSZY, SŁOMKOWYCH, FILCOWYCH
(KWIATÓW)

W WARSZAWIE
Ulica Krakowskie Przedmieście
Nr 15 nowy

MAGAZYN MOD.
EDWARDA LOTH

Sprzedaz hurtowa i detaliczna.

Poleca swoje wyroby:
KAPELUSZE dla dam i dzieci, słomkowe, filcowe, fantazyjne i futrzane.—KA-
PELUSZE męskie, słomkowe i fantazyjne.—KWIATY SZTUCZNE do mody i do
ozdoby apartamentów, w doniczkach, amply, żardynierkach i t. p.
MAGAZYN MOD
zawsze zaopatrzony w największy wybór najnowszych KAPELUSZY UERA-
NYCH, UBIORKÓW, oraz KAPELUSZE, KWIATY, PIORA i ozdoby paryżkie.
Do prania i przefasonowania na nowe formy, przyjmują się kapelusze
wszelkiego rodzaju, letnie i zimowe. — N. 8. —

Album malarzy polskich,

kollekcja fotografii z najcenniejszych obrazów mistrzów krajowych, składająca
się z 130 fotografii, wychodzi w 3-ich formatach, a mianowicie:
w gabinecie po kop. 50;

większym (Royal) po Rs. 4;

w największym (Imperial) po Rs. 10.

Nakładca **MAURYCY ROBICZEK,**
Krakowskie-Przedmieście Nr 41. N. 15

SKŁAD MATERJAŁÓW APTECZNYCH

LUDWIK SPIESSA I SYNA.

Dziękując za okazywane dotąd dowody
zaufania, ma zaszczyt polecić się nadal lask-
wym względem Szanownej Publiczności.

Materiały apteczne, artykuły domowego użytku,
Olejki i Perfumy, Farby i Lakiery, oraz wszelkie
preparaty mające zastosowanie w Chemji i Medy-
cynie, znajdują się zawsze na składzie w gatunkach
wyborowych. — N. 6. —

Skład Maszyn i Narzędzi Rolniczych

A. MUSZYŃSKIEGO,

na Krakowskim-Przedmieściu Nr 40,

naprzeciw Hotelu Europejskiego,

poleca narzędzia Rolnicze z pierwszorzędných fabryk zagranicz-
nych, oraz wyrobu **Warszawskiej fabryki Maszyn:**

Crabie Amerykańskie;

Kosiarki i Żniwiarki;

Młocarnie parowe, manewowe i ręczne;

Wialnie, Arfy, Trieury;

Sieczkarnie, Siekacze, Parniki i t. d., a nadto

Torfiarki i Prasy torfowe;

Wagi dziesiętne, oraz

SZAFY OGNIOTRWAŁE.

Nasiona pastewne, warzywne i kwiatowe. — N. 1. —

CYGARA HAWAŃSKIE

bardzo odleżałe z fabryki

Adolfa SZOPFER w St. Petersburgu,

wyroby z zakupionego w Ameryce prawdziwego liścia hawańskiego, nadeszły w 9-ciu
nżej wymienionych gatunkach, na wyłączną sprzedaż

do Składu Cygar pod firmą

M. Kiczorowski

w Warszawie, ul. Wierzbowa Nr 3, vis-à-vis Filarów Teatralnych.

Jockey-Club po rs. 8 za 100 sztuk.

Vuelta Abajo — 7 —

La Coquette — 6 —

Havanna Prima — 5.50 —

La Maravilla — 5 —

Crespo — 5 —

La Africana — 4 —

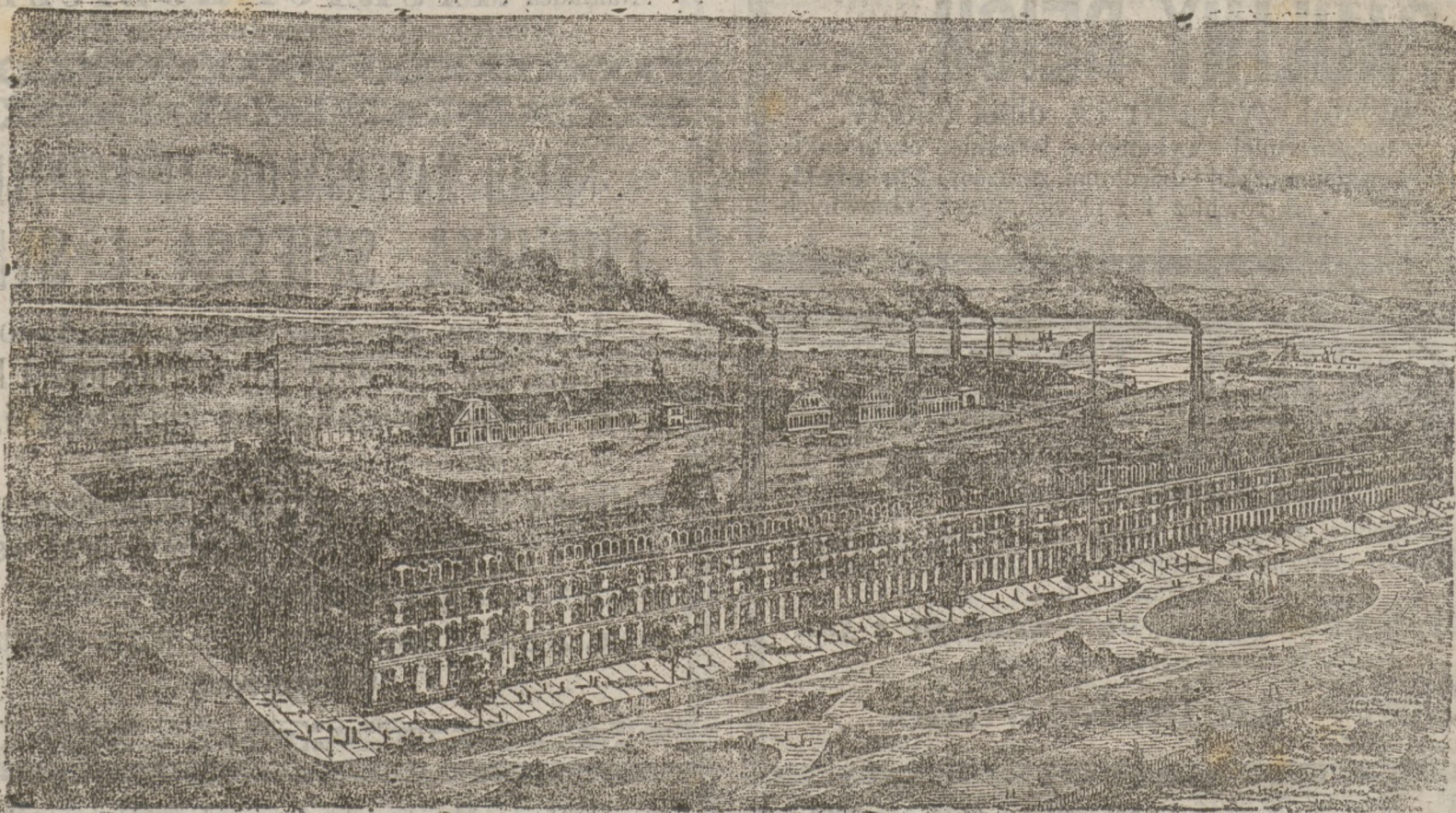
Havanna Secunda — 4 —

Princessas — 3 —

Wszystkie rzeczony cygara oprócz znakomitej dobroci swej i bajecznej w obec te-
że taniości odznaczają się jeszcze tem, że są wyrobione z jednego liścia tak z wierzchu jak
w środku, są dobrze i równo zwinięte i nie zawierają w sobie żadnych korzeni.

Tenże skład otrzymał także znaczne transporty nowych tytoni tureckich, fabryki
J. Rofe w Kremeńcu i **Saduka Durunczy Georgin w Kiszynie-**
wio i papierosów z fabryki „Lafaire” w Petersburgu. Posiada także wielki
zapas Gils z prawdziwej paryżkiej bibułki **Abadie**, fabryki **Wandalin i S-ka**
w Warszawie. — N. 3. —

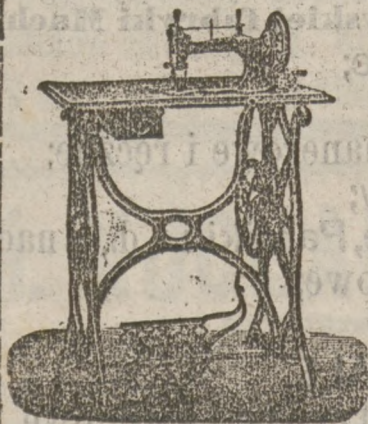
The Singer Manufacturing Company, New-York.



Najstarsza i największa fabryka maszyn do szycia w świecie.

SPRZEDAŁA 1876	SPRZEDAŁA 1877	SPRZEDAŁA 1878	SPRZEDAŁA 1879
262,316 Maszyn.	282,812 Maszyn.	356,432 Maszyn.	431,167 Maszyn.

Oryginalne Singera Maszyny do szycia



przewyższają niezrównanem wykonaniem i trwałością wszystkie inne systemy i imitacje, bo będąc z najlepszego materiału i przy pomocy najdoskonalszych maszyn wyrabiane, z nieporównaną akuracją są wykończone. Ażeby nabywanie tych tak dla użytku domowego jak i rękodzielniczego doskonałych maszyn każdemu ułatwić, sprzedaje się takowe bez podwyżki w cenie, za wypłatą po 1 rs. tygodniowo; również przyjmują się w rachunek wszystkie nieużyteczne maszyny wszelkich innych systemów. — Najzupełniejsza gwarancja; nauka bezpłatna.



JEDYNIE PRAWDZIWE,

jeżeli maszyny powyższym znakiem fabrycznym i na ramieniu złotym napisem firmy „The Singer Manufacturing Co.” są opatrzone.



JEDYNIE PRAWDZIWE,

jeżeli maszyny powyższym znakiem fabrycznym i na ramieniu złotym napisem firmy „The Singer Manufacturing Co.” są opatrzone.

Wierzbowa N. 4 C. NEIDLINGER, Długa N. 29.

Główny Skład w Warszawie posiada filje pod własną firmą:

w Lublinie, w Kaliszu, w Płocku, w Kielcach, w Łodzi, w Piotrkowie, w Radomiu.

Krak.-Przedm. Nr 176/7. Rynek 17. Grodzka 34/5/6. Rynek 47. Piotrkowska 502. Ekaterynska 57. Lubelska 57.

— N. 7. —